TYDZIEŃ

Nr 45 (69) ROK II

9. XI. 1947

CENA 20 ZŁ



W TRZYDZIESTĄ ROCZNICĘ REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

1917 – 1947

NASZA OKŁADKA



Rys. St. Rozwadowski

REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA

tak i nie

Mechanizacja kopalnictwa w ZSRR

Radzieckie górnictwo węglowe opiera się w swoim procesie rozbudowy o rodzimy przemysł maszynowy. Ostatnio fabryki radzieckie wypuściły nowy model wrębarki, która przewyższa znane modele amerykańskie i angielskie.

Dzięki specjalnej konstrukcji maszyna ta może być zostosowana w takich warunkach geologicznych, w których dotychczas musiano wykonywać prace ręcznie. Nowa maszyna wyrębuje i jednocześnie ładuje na taśmę 50 ton węgla na godzinę i wymaga obsługi 4 górników. Aby osiągnąć ten sam wynik 32 ludzi pracujących ręcznie zużywało 4 godziny.

(p)

Podczas gdy...

PODCZAS gdy w USA prowadzone jest dochodzenie przeciwko aktorom i pisarzom oskarżonym o „antyamerykańską" działalność, sąd amerykański umorzył skargę o zdradę przeciwko 3 Amerykanom, którzy przemawiali przez radio hitlerowskie w czasie wojny...

Podczas gdy na specjalne zaproszenie władz amerykańskich, nowy „wódz" narodu niemieckiego Schumacher udaje się z wizytą do Stanów Zjednoczonych, aby przekonać amerykańską opinię publiczną co do konieczności odbudowy potęgi gospodarczej Niemiec, przedstawicielom francuskiego świata pracy, delegatom CGT — francuskich związków zawodowych Renault i Lebrun odmówiono wizy wjazdowej do Stanów Zjednoczonych w obawie, aby nie spowodowali zamieszania w umysłach amerykańskich robotników...

W Grecji bez zmian

W JEDNYM z ostatnich tygodni ubiegłego miesiąca w samym tylko okręgu ateńskim 190 zakładów fabrycznych wymówiło pracę robotnikom z braku surowców i węgla. Liczba bezrobotnych w stolicy greckiej wynosi obecnie 50.000. Szumnie reklamowana pomoc amerykańska dla Grecji nie idzie na uruchomienie przemysłu i dostarczenie robotnikom pracy, lecz na walkę ze światem pracy i demokratami, względnie na budowę obiektów strategicznych.

Według oświadczenia Mr. Giswolda delegata amerykańskiego w Atenach, na pierwszym planie znajdują się roboty przy budowie lotnisk w Salonikach, Larissie, Janinie, Kazani i Candala i rozbudowa lotnisk w Assani i Atenach. Koszt tych robót wyniesie 2 miliony dolarów.

(p)

Kryzys angielski

Celem ograniczenia importu, powiększenia własnej produkcji i dzięki temu — również eksportu, Anglicy chwytają się obecnie wszystkich możliwości. W jednej z fabryk uruchomiono piece i obrabiarki wyprodukowane przed stu przeszło laty (w r. 1832) chociaż eksploatacja ich jest deficytowa, gdyż dany zakład produkuje towary poszukiwane na rynku światowym.

Wielką wagę przywiązują również do rozwinięcia, a właściwie do odrodzenia chałupnictwa wśród kobiet. Rozpoczęto wielką kampanię wzywającą kobiety do robienia robótek, a w pierwszym rzędzie haftów. Aby dać przykład królowa wdowa Mary wykonuje ozdobne obrusy na ołtarz jednego z kościołów za oceanem, aby za słoną cenę w dolarach zaspokoić snobistyczne zachcianki dorobkiewiczów zamorskich.

(p)

I wewnątrz Hiszpanii

TOMAS Villen, przywódca odddziału partyzantów hiszpańskich, zginął we własnym domu, podpalonym przez „gwardię cywilną" (oficjalna nazwa policji generała Franco).

Zwłoki jego zostały przewiezione do rodzinnej wsi Villena w prowincji Jaen. Wszyscy mieszkańcy wioski musieli przedefilować przed zmarłym, przy czym orkiestra gwardii cywilnej przygrywała jakby na drwiny skoczne melodie. Na zakończenie ceremonii rozstrzelano bez sądu 16-letniego chłopca, zatrzymanego w okolicy pod zarzutem, że należał do oddziału Villena.

Dwie godziny potem zabito w ten sam sposób dwóch mężczyzn i jedną kobietę w sąsiedniej wsi.

(p)

Jak przejść przez granicę hiszpańską

PEWIEN Szwajcar postanowił przejść przez granicę francusko-hiszpańską, która, jak zapewne wiadomo czytelnikom „Tygodnia", jest od dłuższego czasu zamknięta, wobec zerwania stosunków dyplomatycznych z gen. Franco. Okazuje się, że w Perpignan urzęduje po dziś dzień konsul frankistowskiej Hiszpanii. Za opłatą urzędową 280 franków i łapówką w kwocie dalszych 500 franków, ów konsul dał obywatelowi Szwajcarii upragnioną wizę.

Ostatni etap wędrówki Szwajcar odbył pieszo drogą oznaczoną napisami: „OSTROŻNIE. DROGA ZAMINOWANA". Wreszcie doszedł do posterunku hiszpańskiego w Port Bou. Rewizja celna i paszportowa trwała pięć godzin pod nadzorem 4 uzbrojonych funkcjonariuszy. Jak podaje miłujący bardziej pokojową opiekę Szwajcar „strażnicy nie opuszczali go do chwili, gdy odjechał w dalszą drogę do Barcelony.

(p)

Jak pracuje Reuter?

GŁÓWNYM argumentem, wysuwanym na Zachodzie w obronie stosowanego w Stanach Zjedn. i Wielkiej Brytanii systemu obsługi prasy przez niekontrolowane przez nikogo agencje jest rzekoma dokładność, z jaką dostarczają wiadomości w obawie przed konkurencją innej agencji. Tygodnik brytyjski „Statesman and Nation" doniósł niedawno, że po zbadaniu jednej z trzech kopii protokółów posiedzeń Rady Bezpieczeństwa ONZ, jakie docierają w oryginale do Anglii przekonał się, że w depeszach agencyjnych nie było wzmianki o szeregu ważnych wypowiedzi w czasie debaty o Indonezji. Autor artykułu w angielskim tygodniku stwierdza, że dopiero z odpisu protokółu dowiedział się, że delegat holenderski usiłował zaprzeczyć istnieniu rządu indonezyjskiego, choć rząd ten uznany jest de facto przez Holandię, że Anglicy nie brali poważniejszego udziału w debacie, podczas gdy sprawa Indonezji była usilnie popierana przez delegata radzieckiego, australijskiego i kolumbijskiego.

(p)

Oj, ta Ameryka!

WYCHODZĄCA w Hawanie gazeta „Oj" donosi, że w czasie konferencji panamerykańskiej w Rio de Janeiro, która odbyła się kilka miesięcy temu, minister Marshall przeprowadził tajne rozmowy z przedstawicielami Kuby, Chile i Brazylii, omawiając z nimi plany zerwania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim. Było to sygnałem do istotnego zerwania, które teraz nastąpiło.

Krążą pogłoski, że Ameryka wywiera obecnie nacisk na Argentynę, Urugwaj i Meksyk, namawiając usilnie te kraje, by poszły śladami Chile i Brazylii. (z)

Triest zamiera...

RUCH w porcie triesteńskim zamiera niemal całkowicie. Notuje się w tej chwili wzrost liczby bezrobotnych do 30.000 osób. Polityka władz anglosaskich w Trieście uniemożliwia normalny rozwój stosunków gospodarczych tego portu z jego naturalnym zapleczem — Jugosławią i krajami bałkańskimi. Jugosławia rozbudowuje wobec tego w przyspieszonym tempie port Rieka (Fiume), przez który zamierza kierować swój handel zamorski. W Riece Jugosławia przyznała Węgrom wolną strefę. Również Czechosłowacja prawdopodobnie kierować będzie przez ten port swój wywóz, który dotychczas kierowany był przez Triest. Fakty te świadczą o słuszności wysuwanych w swoim czasie argumentów jugosłowiańskich w sprawie przyłączenia Triestu do Jugosławii w dobrze pojętym obustronnym interesie. Odpowiedzialność za smutny los Triestu ponoszą mocarstwa zachodnie, które usiłowały z tego miasta stworzyć drugi Gdańsk. (z)

Quisling Abisynii

Władca Abisynii Haile Selassie domaga się dla tego kraju smutnego pierwszeństwa. Jak twierdzi jego kraj wydał pierwszego „Quislinga", zanim jeszcze Quisling zdradził Norwegię, nadając swemu nazwisku owo haniebne znaczenie, jakie będzie posiadało na zawsze.

Gdy w styczniu 1941 roku samoloty brytyjskie zrzucały nad osiedlami Abisynii wydrukowane złotymi zgłoskami ulotki obiecujące generalną amnestię w imieniu Haile Selassie, jeden tylko ras Gugsa został imiennie wymieniony, jako niepodlegający aktowi łaski. Ras Gugsa zdradził w roku 1935 swój kraj i poszedł na służbę do faszystowskich imperialistów. Z ich ramienia piastował następnie stanowisko gubernatora północnej Abisynii.

Obecnie ras Gugsa, który jest zięciem Haile Selassie, oczekuje na rozprawę sądową na równi z innymi zdrajcami w krajach, które były okupowane przez Niemców lub Włochów.

(p)

Ostrze na ostrze

WOLNE MIASTO

Jak donosi niemiecka agencja prasowa w strefie amerykańskiej, przewodniczący stowarzyszenia byłych obywateli Gdańska, Werner Richter, na zgromadzeniu byłych mieszkańców Gdańska, zamieszkujących obecnie w Bremie, wezwał zebranych do złożenia protestu przeciwko temu, że Polska „niesłusznie zawładnęła Gdańskiem". Richter wysunął żądanie, aby Niemcy, dawni mieszkańcy Gdańska, traktowani byli jako osoby deportowane. Stowarzyszenie Niemców, byłych mieszkańców Gdańska, powołało samozwańczy rząd emigracyjny „der freien Stadt Danzig".

Tyle dowiadujemy się z informacji agencji prasowej. Jeden czytelnik uśmiechnie się z politowaniem i powie: farsa. Inny może pokiwa współczująco głową i orzeknie: obłęd. Zapewne — i jedno i drugie. W równej mierze farsa i obłęd. Ale — jak się to często mówi: w tym szaleństwie jest bezsprzecznie metoda. Chyba nawet wśród organizatorów tej farsy nikt nie wierzy, aby podjęta akcja mogła kiedykolwiek wydać jakiekolwiek konkretne rezultaty. Chodzi o co innego. O to mianowicie, aby nieustannie łaskotać opinię mniej odpornych na podobne praktyki narodów świata przypomnieniem rzekomych niemieckich krzywd. Aby pod wpływem tych praktyk zatarło się inne wspomnienie — wspomnienie krzywd, doznanych ze strony tych samych Niemców przez narody, które były ofiarami agresji.

I to jeszcze nie jest wszystko. Sprawa ma jeszcze głębsze podłoże jak każda inna międzynarodowa sprawa w dzisiejszej dobie ścisłej współzależności polityki różnych narodów świata. Gdyby tak nie było, bez obawy moglibyśmy pozostawić sam na sam pana Richtera z tymi, którzy mają czas i ochotę przysłuchiwać się jego brednioom i przypatrywać jego jałowym poczynaniom. Niestety — i tu tkwi sens głębszy tych właśnie poczynań — mają one bez wątpienia na celu mącenie pokoju świata, atmosfery przyjaźni i zaufania. Cóż bowiem rzec możemy w takim wypadku my, Polacy, po wszystkich postanowieniach, które zapadły w Poczdamie, po tych postanowieniach, które są aktem dziejowej sprawiedliwości i zapewnieniem naszej niepodległości, naszej przyszłości i naszego istnienia — gdy jedno z mocarstw, gwarantujących te postanowienia i ponoszących odpowiedzialność za stan umysłów niemieckich w swojej strefie okupacyjnej, zezwala na wystąpienia jawnie sprzeczne z zaakceptowanymi przez siebie w Poczdamie decyzjami? Możemy w równej mierze pomawiać to mocarstwo o nieudolność w administrowaniu okupowaną przezeń strefą — jak i o... nieszczerość wobec nas i wobec poczdamskich kontrahentów.

W tym wypadku strzał zza niemieckiego węgła jest celny.

Jeśliby natomiast chodziło panu Richterowi o jakiekolwiek zachwianie naszej wiary w trwałość istniejącego stanu rzeczy, o jakiekolwiek osłabienie naszej woli od budowy kraju na nowych, mocnych fundamentach, strzał jest wielką omyłką. Odwrotnie do jego prawdopodobnych zamierzeń—skutkiem tego rodzaju wyczynów jest wzmocnienie naszej woli, zjednoczenie i wzmożenie wysiłków w kierunku zabezpieczenia naszych najżywotniejszych interesów.

Z jednym tylko możemy się zgodzić z panem Richterem — co do tego mianowicie, że słuszna jest nazwa „Wolne miasto Gdańsk". Miasto jest wolne. Wolne od najeźdźców niemieckich. Wolne dziś w wolnej Polsce. Lecz nie pan Richter strzec będzie tej wolności, ale my.

AWIS

tak i nie — STRONA 4

HENRYK ŚWIĄTKOWSKI

TRZYDZIEŚCI LAT ISTNIENIA PAŃSTWA RADZIECKIEGO

7 listopada 1947 r. upływa 30 lat od historycznego zwycięstwa, odniesionego przez lud rosyjski w Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej.

Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna stanowi historyczny przełom w dziejach ludzkości. Jej bowiem zwycięstwo otworzyło nowy okres: wyzwalania się społeczeństw od wyzysku człowieka przez człowieka, narodu przez naród.

Trzydzieści lat istnienia państwa radzieckiego, stabilizacja jego ustroju, który dzięki poparciu społeczeństwa radzieckiego zwycięsko oparł się zdradzieckim zakusom wrogów wewnętrznych i zewnętrznych — świadczą o niespożytej mocy idei kierowniczych, stanowiących motor rozwojowy nowego socjalistycznego państwa radzieckiego.

Na obszarze jednej szóstej części globu ustabilizował się radziecki ustrój socjalistyczny, który w pełni zdolny jest do rozwiązywania największych zagadnień społeczno - gospodarczych, jakich nie były w stanie rozwiązać inne systemy państwowe.

Z dawnej Rosji — „więzieniem narodów", będącej — Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna uczyniła państwo postępu, ojczyznę wolnych równouprawnionych narodów, ostoję pokoju na świecie.

Zwycięstwo Rewolucji Październikowej nie tylko przed narodem rosyjskim, ale również przed innymi narodami otworzyło drogę swobodnego rozwoju.

Już w dniu 27 marca 1917 r. Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich wydała orędzie, w którym m. in. podaje:

Carat, który w ciągu 100 lat gnębił zarówno naród polski, jak i rosyjski, został obalony wspólnymi siłami proletariatu i wojska. Zawiadamiając naród polski o tym zwycięstwie wolności nad wszechrosyjskim żandarmem Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych oświadcza, że demokracja Rosji uznaje prawo narodów do politycznego stanowienia o sobie i ogłasza, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości w znaczeniu państwowo - międzynarodowym".

Jednym z pierwszych aktów prawnych nowopowstałego rządu radzieckiego było ogłoszenie dekretu, którego mocą zniesione zostały bezpowrotnie „wszystkie traktaty i akty, zawarte przez rząd b. Cesarstwa Rosyjskiego z rządami Królestwa Pruskiego i Cesarstwa Austro - Węgierskiego, dotyczące rozbiorów Polski, a to ze względu na ich sprzeczność z zasadą samostanowienia narodów i rewolucyjną świadomością prawną narodu rosyjskiego, który uznał, iż naród polski posiada nieodbieralne prawo do niepodległości i zjednoczenia".

O treści powyższego dekretu po wiadomione zostały przez rosyjskich przedstawicieli dyplomatycznych: rząd niemiecki i rząd austriacki.

W „Deklaracji praw narodów Rosji", ogłoszonej 17 listopada, podpisanej przez Lenina i Stalina, rząd radziecki potępia politykę gwałtu, ucisku i skłócenia narodów i deklaruje politykę braterskiej przyjaźni między narodami na zasadach równości i suwerenności narodów, prawa narodów do samookreślenia aż do stworzenia własnego państwa, zniesienia wszelkich przywilejów i ograniczeń narodowościowych i narodowo - wyznaniowych, swobodnego rozwoju mniejszości narodowych i grup etnograficznych.

Trzydzieści lat temu Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna zerwała kajdany narodowościowego ucisku, wyzwoliła wszystkie narody b. Rosji, i odsłoniła przed nimi szeroki gościniec swobodnego rozwoju politycznego, społeczno - gospodarczego i kulturalnego.

Wielonarodowe państwo radzieckie stało się przykładem, jak można osiągnąć dobrowolnie zjednoczenie równouprawnionych narodów w demokratycznej rodzinie.



WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN

(rzeźba W. Andrejewa

Polityka narodowościowa, mająca już za sobą trzydziestoletnią tradycję i wspaniałe wyniki, stawia Z. S. R. R. w roli największego rzecznika przyjaźni i współpracy narodów słowiańskich i wszystkich innych ceniących swoją wolność i suwerenność narodów.

Niestety, w okresie międzywojennym państwo polskie, formalnie niepodległe, znalazło się w niewoli obszarników i kapitalistów, którzy dbając wyłącznie o swoje klasowe interesy, uczynili z nowego państwa polskiego forpocztę kapitalizmu zachodnioeuropejskiego w walce z naszym naturalnym sojusznikiem Związkiem Radzieckim. Te same interesy klasowe faszystów polskich z „Ozonu" podyktowały im odrzucenie proponowanej przez Związek Radziecki pomocy wojskowej przeciwko faszystowskim Niemcom w czerwcu 1939 roku. Zdrada interesów narodowych, wyrażona w Beckowskiej polityce zagranicznej, faszystowskiego obozu „Ozonu", doprowadziła do klęski wrześniowej 1939 roku, która kosztowała państwo polskie siedem milionów ofiar ludzkich.

W ciemną noc okupacji hitlerowskiej wiara i nadzieja narodu polskiego wraz z całą postępową ludzkością zwrócona była w stronę wielkiego naszego wschodniego sąsiada — Z.S.R.R i jego niezwyciężonej Armii Czerwonej.

Ta wiara i nadzieja spełniły się. Państwo Radzieckie w swojej bohaterskiej, uwieńczonej owocami zwycięstwa, walce z największym wrogiem ludzkości—faszyzmem niemieckim—stało się oswobodzicielem Polski i gwarantem jej niepodległości, rzecznikiem i obrońcą niepodległości narodów słowiańskich oraz wszystkich narodów miłujących wolność.

Z. S. R. R. obok wielkiej siły moralnej stanowi olbrzymią potęgę polityczno - gospodarczą, nastawioną na pracę pokojową — dla odbudowy straszliwych strat i zniszczeń, zadanych przez hitlerowskiego najeźdźcę, dla realizacji nowego planu pięcioletniego, planu rozwoju i rozkwitu dobrobytu kulturalnego i materialnego.

Z. S. R. R. przychodzi z bezinteresowną pomocą gospodarczą narodowi polskiemu, gdy imperializm amerykański swoją przewagę gospodarczą wykorzystuje dla poddania sobie innych narodów.

W dniu trzydziestoletniej rocznicy Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej Naród Polski zgodny jest w uczuciach sympatii, przyjaźni i wdzięczności dal swoich wiernych przyjaciół —narodów ZSRR, w szczególności dla wielkiego Narodu Rosyjskiego, twórcy i organizatora radzieckiego państwa robotników i chłopów.

Henryk Świątkowski

tak i nie

Gospodarstwa pomocnicze w USA

Związek zawodowy robotników budowlanych numer 1290 w Kansas City (związki zawodowe w Ameryce numerują swoje oddziały) zakupił farmę za 26.000 dolarów ,wychodząc z założenia, że na wypadek kryzysu lub inflacji będzie to najlepsza lokata.

Jak widać z powyższego robotnicy amerykańscy nie mają zbyt wielkiego zaufania do „prosperity" amerykańskiej, a w szczególności do wypłacalności banków i niezmiennej wartości dolara. Uważają, że kura, czy krowa są stałą wartością, która może przynieść w razie potrzeby większą pomoc robotnikom, niż niewypłacalny bank. (p)

Co się dzieje z węglem niemieckim?

Według danych pochodzących ze źródeł amerykańskich bilans węglowy trzech stref znajdujących się w zarządzie mocarstw zachodnich wykazuje, że 15 milionów ton węgla zostało zużytkowanych na cele nieznane.

„World Report" podaje, że wydobycie roczne wynosi 60 milionów ton.

Eksport	10 milionów ton
Koleje	15 milionów ton
Przemysł stalowy	6 milionów ton
Inne przemysły	10 milionów ton
Opał domowy	4,5 miliona ton
Razem	45,5 miliona ton

Gdzie się podziały te 15 milionów ton węgla? Nie można przecież przypuszczać, że czarny rynek wchłonął tak olbrzymią ilość. (p)

Za dużo kawy

Brazylia bardzo się martwi o zbyt kawy. Statystycy obliczają, że zbiór tegoroczny przewyższa zapotrzebowanie światowe o 300 milionów kilogramów. Możliwości powiększenia wywozu są małe wobec światowego głodu dóbr produkcyjnych. Brazylijczycy sądzą jednak, że poszczególne państwa zwiększą przywóz kawy ze względów fiskalnych. Jest to bowiem artykuł łatwy do opodatkowania.

Tymczasem jednak Brazylijczycy usiłowali wytworzyć z kawy syntetyczny surowiec „cafelit", próby jednak zawiodły. Natomiast udało się za 416 worków kawy wytargować przejście znanego argentyńskiego piłkarza do klubu w Sao Paolo. (p)

Następca pułkownika Lawrenca

Pułkownik Lawrence, prawie legendarny as wywiadu brytyjskiego, który stworzył w czasie pierwszej wojny światowej legion arabski, ma następcę. Jest nim niejaki Mr. Glubb, dowódca siły zbrojnej „królestwa" Transjordanii, noszącej również nazwę Legionu Arabskiego. Mr. Glubb objął również sukcesję po pułkowniku Lawrence, jako doradca Emira Abdullaha.

Najdroższym marzeniem Abdullaha jest stworzenie państwa Wielkosyryjskiego pod własnym berłem. A może jest to również marzeniem Mr. Glubba i jego ukrytych mocodawców w Londynie? (p)

Na giełdzie chińskiej

Postępy demokratycznej armii chińskiej w rejonie Szan - Tungu odbiły się na wrażliwych nerwach giełdziarzy w Szanghaju. W ciągu tygodnia dolar amerykański, bożyszcze spekulantów na całym świecie, skoczył z 64.000 na 70.000 dolarów chińskich. Również bawełna, podstawowy surowiec dla przemysłu chińskiego, skoczyła o 2 miliony dolarów chińskich na jednej beli, osiągając rekordową cenę 29 milionów dolarów.

Smutek zawitał na ulice „wesołych przyjęć", przecznice reprezentacyjnej alei Fu - Czau. Na Wei Loh Lee (tak brzmi po chińsku nazwa tej ulicy) ok. 40 domów zostało zajętych przez najbardziej luksusowe „herbaciarnie", w których pracują najładniejsze „dziewczęta". Domami tymi zarządzają związki kupieckie, a wpisowe wynosi 20 milionów dolarów chińskich. Obecnie ulica wesołych przyjęć przeżywa kryzys. Zabrakło pieniędzy na przyjęcia na dziewczynki. (p)

Brak elektryczności w USA

Na skutek niedostatecznej rozbudowy elektrowni i nadmiernego zużycia prądu w miastach nad Pacyfikiem wprowadzono w stanie Kalifornia ograniczenia w zużyciu prądu. Między innymi zakazano używania reklam świetlnych, rozpoczęto wielką kampanię za oszczędnością w zużyciu elektryczności w mieszkaniach prywatnych i mianowano specjalnego urzędnika, który ma prawo wyłączania prądu w poszczególnych zakładach fabrycznych, przekraczających przyznane im kontyngenty.

Jak widać z powyższego zasoby USA nie są nieograniczone, jakby się wielu naiwnym zdawało. (p)

Wartość ślubnej sukni

Amerykanie uważają, że wszystko ma swoją cenę, nawet tajemnica ślubnej sukni księżniczki Elżbiety. Kierownicy wielkiego domu konfekcyjnego, mającego swoje oddziały prawie we wszystkich miastach Stanów Zjednoczonych, obliczyli, że wypuszczenie na rynek amerykański sukni, będących dokładną kopią stroju weselnego angielskiej następczyni tronu, przyniosłoby pół miliona dolarów zysku. Wobec tego zaofiarowali 50.000 dolarów łapówki za „tajemnicę państwową".

Anglia potrzebuje dolarów, ale rysunku toalety weselnej nie sprzeda. (p)

Szpiegostwo chińskie

Prasa amerykańska zarzuciła ambasadzie chińskiej w Waszyngtonie, że stała się ośrodkiem szpiegostwa. Dyplomaci chińscy zaprotestowali ostro przeciw takiemu oskarżeniu. Prasa jednak dalej twierdzi, że na terenie Stanów Zjednoczonych działa organizacja stworzona przez generała Tai Li, szefa chińskiego Gestapo (określenie użyte przez Amerykanów), ze generał Ho Yin Chin, nim został powołany na poważne stanowisko w ONZ, rozbudował aparat szpiegowski i że wreszcie ambasada sama prowadzi dokładne ewidencje wszystkich obywateli chińskich, przebywających w Stanach Zjednoczonych i kontroluje ich poglądy polityczne.

Ku-Klux-Klan contra Ku-Klux-Klan

Jak podaje szwajcarski tygodnik „Die Weltwoche" pisarz amerykański Steeson Kennedy postanowił wypowiedzieć walkę tajnej organizacji terrorystycznej Ku-Klux-Klan. Ponieważ organizacja ta nie jest zarejestrowana w odpowiednim spisie stowarzyszeń, przeto zdecydował się na wpisanie swojej ligi właśnie pod tą nazwą.

Do rady, mającej kierować nowym „Klanem" ma należeć: 1 protestant, 1 katolik, 1 Żyd, 1 Murzyn, 1 Indianin, 1 Nisei (Amerykanin pochodzenia japońskiego).

Złośliwi twierdzą, że pierwszym krokiem Kennedy'ego powinno być zaangażowanie odpowiedniej straży przybocznej. (p)



Rys. Tadeusz Kryszak

ROK 1917

Zaniedbane możliwości

W wielkich tygodnikach amerykańskich, angielskich i szwajcarskich ogłaszają się firmy i towarzystwa dobroczynne, które podejmują się dostarczenia głodnej Europie rozmaitych artykułów żywnościowych, odzieżowych, a nawet węgla i kartofli.

Kraje potrzebujące dewiz postanowiły wykorzystać okoliczność, że Niemcy mają wielu rodaków i serdecznych przyjaciół, w krajach o mocnej walucie i obecnie można wysłać do Niemiec (i do innych krajów) za dolary lub franki szwajcarskie: holenderskie kartofle, duńskie masło i mleko skondensowane ,austriackie jabłka, szwajcarską czekoladę, portugalskie sardynki, a nawet kawę i herbatę w nieograniczonych ilościach. Oczywiście można kupić również amerykańskie wyroby, a ponadto można kupić dla Niemców za walutę niemiecki węgiel.

Wydaje się, że instancje zajmujące się eksportem polskich towarów winny się zainteresować tymi możliwościami uzyskania wolnych dewiz. (p)

Kto nie chce żuć gumy, nie dostanie nafty!

Wszystkie dzienniki Sztokholmu podały z oburzeniem wiadomość, że Stany Zjednoczone wprowadziły zakaz wysyłania ropy naftowej do Szwecji. Dlaczego? Okazuje się, że Stany Zjednoczone zalewały Szwecję olbrzymią ilością towarów, bez których można by się obejść: luksusowymi wyrobami, galanterią, gumą do żucia itp. Na skutek tego zagrożona została gospodarka finansowa Szwecji. Wobec tego rząd szwedzki powziął kroki przeciwko przywozowi niepotrzebnych towarów. Ten krok z kolei wywołał niezadowolenie wśród kapitalistów amerykańskich — wydanie zakazu przywozu do Szwecji ropy naftowej stanowi represję przeciwko decyzji szwedzkich władz. Chcesz naftę — żuj gumę! (p)

Kiedy słonie strajkują...

Czy Anglicy są sentymentalni? Czasami. Co prawda wielka tragedia grożącej w Indiach wojny domowej wzbudza zainteresowanie wśród angielskiej opinii publicznej raczej z punktu widzenia polityczne go oraz interesów Imperium, ale za to... „Times" opisuje z rozczuleniem następującą historię:

Kiedy muzułmańscy dozorcy słoni, należących do maharadży państewka Pakialu zbiegli z terytorium tego kraju w obawie przed krwawymi prześladowaniami ze strony prawowiernych Hindusów, słonie odmówiły pożywienia, a nawet przyjmowania wody. Po upływie pięciu dni, słonie znalazły się w stanie kompletnego wyczerpania i stało się niewątpliwe, że wkrótce grozi im śmierć głodowa. Wówczas maharadża Pakialu wysłał eskorty celem odnalezienia dozorców. Zbiegów schwytano. Ukazanie się dozorców słonie przywitały głośnym trąbieniem i mimo ogromnego wyczerpania, objawiły nowe zainteresowanie życiem...

Zainteresowanie się tą historią ze strony tak poważnego pisma, jak „Times" dowodzi wielkiej miłości dla zwierząt. Lecz w Indiach ginie także codziennie tysiące ludzi...

Kolonizacja Sahary?

Uczony francuski Savornin ustalił, że pod piaskami Sahary kryje się woda. Trzeba jednak bardzo głęboko wiercić, aby do niej się dostać. Savornin ustalił, że niektóre rzeki, wypływające z gór Atlasu w stronę pustyni, giną w pokładach kredowych ciągnących się pod późniejszymi nawarstwieniami geologicznymi.

Podobno ustalono, że możnaby wybudować ok. 1.500 oaz zasilanych przez owe podziemne zapasy wody. Każda oaza mogłaby wyżywić 200 rodzin. Każda rodzina otrzymałaby po hektarze ziemi i 121 palm daktylowych. Jedyny problem, to wyżywienie ludności przez pierwsze 15 lat. Tyle bowiem czasu upływa nim palma daktylowa zaczyna owocować. (p)

ODBUDOWA i ROZWÓJ HANDLU SPÓŁDZIELCZEGO W ZWIĄZKU RADZIECKIM

W specjalnym wywiadzie, udzielonym dla naszej prasy spółdzielczej, prezes Centralnego Związku Spółdzielni Spożywców ZSRR, Jan Chochłow wyjaśnił, w jaki sposób spółdzielcy radzieccy odbudowują zniszczony przez okupanta aparat spółdzielczy, dążąc nie tylko do jego odbudowy, lecz także do jak najlepszego rozwoju.

W okresie roku, od 1 kwietnia 1946 roku do 1 kwietnia 1947 roku, sieć placówek handlowych spółdzielczych wzrosła na wsi do cyfry 12.000. Jednocześnie zwiększyła się znacznie ilość spółdzielni wiejskich tego rodzaju, jak herbaciarnie, jadłodajnie, restauracje.

Spółdzielnie spożywców w ciągu pół roku (od 1 stycznia do 1 lipca 1947 roku) rozprowadziły na wsi towary ogólnej wartości 28 miliardów rubli. Jest to o 30 proc. więcej, niż w tym samym okresie roku ubiegłego.

Doskonale rozwija się i odbudowuje sieć placówek zbytu i produkcja spółdzielczości spożywczej Republik Białoruskiej i Ukraińskiej, których gospodarka ucierpiała szczególnie w okresie niemieckiej okupacji. W republikach tych wybudowano tysiące nowych zakładów produkcyjnych.



Kuchnia fabryczna dla robotników.

W ciągu ostatnich lat spółdzielczość spożywcza rozwijała swoją działalność wyłącznie prawie na wsi. Począwszy od listopada 1946 roku, zgodnie z postanowieniem rządu ZSRR, spółdzielczość spożywcza rozpoczęła swoją działalność także w miastach i miasteczkach. Oddano do dyspozycji spółdzielczości doskonałe lokale handlowe. Przedmiotem zbytu tych spółdzielni są w głównej mierze takie artykuły, jak słodycze, przetwory mięsne, rybne, owoce, jarzyny itp. Sprzedaż artykułów tych w spółdzielniach odbywa się systemem bezkartkowym. W ten sposób członkowie spółdzielni mają możność zaopatrzyć się w artykuły codziennej potrzeby dodatkowo ponad racje, otrzymywane w sklepach państwowych według ustalonych norm przydziałowych.

Ceny towarów w sklepach spółdzielczych są systematycznie obniżane. Z reguły są one znacznie niższe, niż ceny rynkowe.

Ta obniżka cen daje się szczególnie odczuć w obecnej chwili, kiedy w całym kraju doskonałe tegoroczne urodzaje otwierają szerokie możliwości skupu artykułów żywnościowych poprzez spółdzielnie, celem rozprowadzenia ich wśród ludności miejskiej i osad robotniczych.

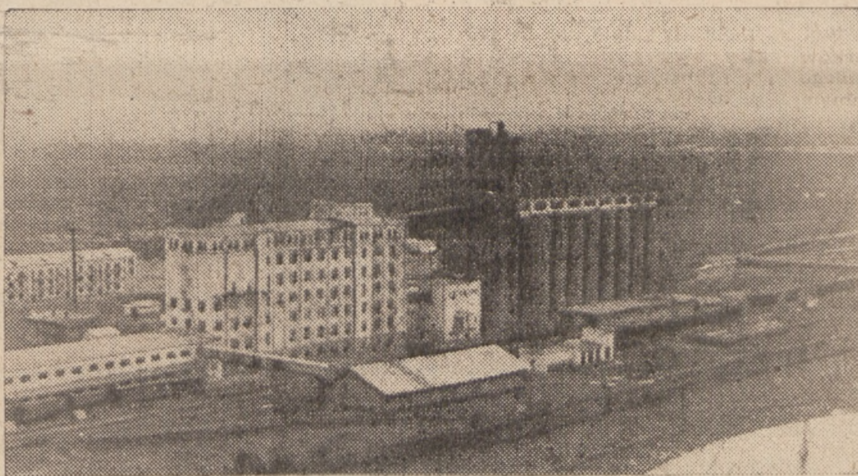
W dniu 1 września w miastach i osadach fabrycznych ilość spółdzielni spożywczych wszelkiego rodzaju dosięgła cyfry 14.000 rozmaitych placówek.

Od listopada 1946 r. do września 1947 roku spółdzielczość spożywcza sprzedała w miastach i osadach artykułów spożywczych wartości ponad 9 miliardów rubli. Gatunek tych towarów jest z reguły bez zarzutu.

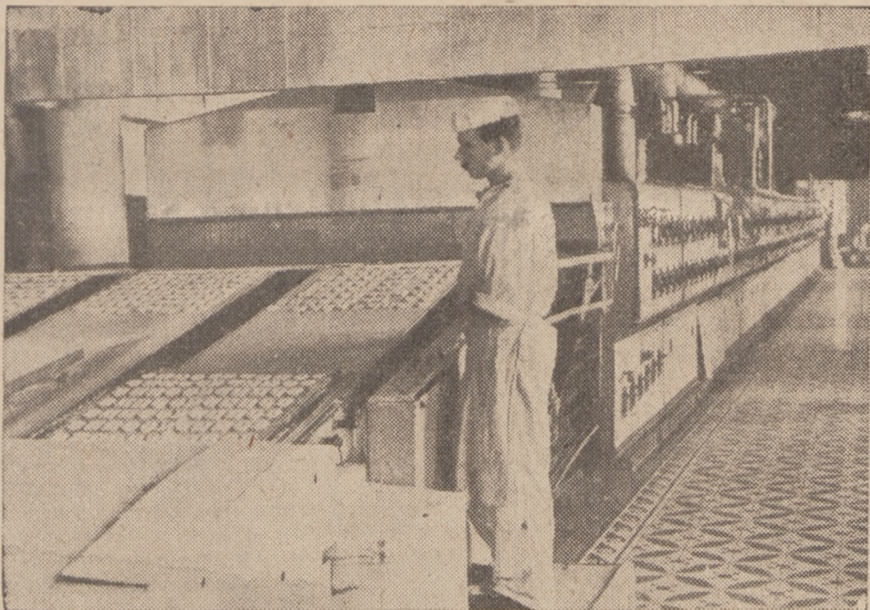
— Jesteśmy głęboko przekonani — mówi na zakończenie prezes Chochłow — że już w następnym roku zaleczymy wszystkie rany, zadane naszej gospodarce przez wojnę i postawimy naszą spółdzielczość na takim poziomie, który zapewni jak najsprawniejsze zaspokojenie wszystkich potrzeb ludności pracującej miast i wsi Związku Radzieckiego.



Wystawa ogrodnicza w Moskwie.



Kombinat młynarski w Karagandzie (Kazachstan).



W fabryce wyrobów cukierniczych „Bolszewik" w Moskwie



Piekarnia mechaniczna w Mińsku Litewskim. Świeżo wypieczony chleb odchodzi do magazynów.

ROZMAWIALIŚMY z ERENBURGIEM

Właściwie nie jest to tak zupełnie ścisłe. W odpowiedzi na pytania, zadawane przez dziennikarzy warszawskich podczas konferencji zorganizowanej z okazji pobytu w Polsce pisarzy radzieckich, znakomity literat i publicysta Erenburg za każdym niemal razem szkicował na poczekaniu felieton — małe arcydzieło, skrzące się dowcipem, pełne trafnych, głębokich uwag.

Od czasu do czasu zabierali głos także trzej pozostali pisarze radzieccy, którzy przybyli do Polski z krótką wizytą — Aleksander Twardowski, młody lecz już znany w całym Związku Radzieckim poeta, Paweł Tyczyna i Piotr Browka, przedstawiciele literatury białoruskiej i ukraińskiej. Pod głównym obstrzałem naszych dziennikarzy znalazł się jednak Ilia Erenburg, dobrze znany czytelnikom polskim z wielu dawnych utworów powieściowych i prac publicystycznych, autor „Upadku Paryża", (wydawnictwo „Książki") kończący obecnie najnowsze swe dzieło „Burza".

Są tacy — odpowiada Erenburg na jedno z pytań, dotyczące stosunku jego do egzystencjalizmu i Sartre'a — którzy zarzucają nam, pisarzom radzieckim, że krytykujemy Sartre'a za subiektywizm, podczas gdy sami jesteśmy subiektywni w naszej ocenie rzeczywistości. To prawda. Jesteśmy subiektywni. Inny jest jednak nasz subiektywizm i inny Sartre'a. Sartre jest uosobieniem tragizmu Francji. Powiedziałem mu w czasie jednej z naszych dyskusji, że poświęca on swe powieści ludziom, którzy tworzą piekło na ziemi. Widzi on zło w człowieku, zamiast widzieć je w ustroju, który takiego właśnie człowieka stwarza. Obrzydza on człowieka, zamiast obrzydzać ustrój. My — widzimy zło w ustroju burżuazyjnym i wierzymy w człowieka. Taka jest między nami zasadnicza różnica.

— Sprawa grecka? — powtarza Erenburg pytanie, które padło z ust literata greckiego, obecnego również na konferencji. — Mój pogląd i nie tylko mój — mówię w tej chwili w imieniu nas wszystkich, co do tej sprawy nie ma między nami różnic, choć mogą one być w sprawach literackich — jest jasny. Jestem optymistą. Wierzę święcie, że naród grecki zwycięży. To, co się dzieje w Grecji jest powtórzeniem tragedii hiszpańskiej. Każdy, kto umiera w Grecji za wolność i prawdziwą demokrację, umiera za wolność i szczęście całej ludzkości. Cenimy pokój, ale przede wszystkim kochamy wolność...

— Uważam, że zbyt długo już oszczędzaliśmy w naszych wypowiedziach tych, którzy sieją na świecie niepokój. My jesteśmy z natury narodem pokojowym. Nie lubimy wojować. Uważamy, że zabijanie człowieka nie jest zajęciem, które przystoi ludzkości. Nie po to matki rodzą dzieci, aby były mięsem armatnim. Dlatego tak ostro teraz występujemy przeciw ko wszystkim, którzy usiłują podtrzymywać wojenne nastroje. Nasza prasa radziecka jest może mniej efektowna niż amerykańska na przykład, ale ja osobiście wolę przebywać w towarzystwie nawet nudnych akademików, aniżeli ludzi, którzy z zamiłowaniem biją się nawzajem po twarzy...

Sprawy wojny i pokoju stały się głównym tematem konferencji.

Oto, co mówił Erenburg na temat problematyki wojennej w literaturze radzieckiej:

— Czy nasz czytelnik jest zmęczony problematyką wojenną? Nie. Ma on tylko dosyć powierzchownych opisów batalistycznych. Żąda teraz czego innego: pogłębienia problemów psychicznych, analizy przeżyć człowieka na przestrzeni tragicznych i bohaterskich dni, dni niedawnej walki i dzisiejszego okresu — przejścia do życia pokojowego. To jest aktualna problematyka naszej literatury. Rodzą się nowe, młode talenty pisarskie — są to ludzie, którzy jeszcze pracują nad ukształtowaniem zewnętrznego wyrazu, formy, lecz już w pełni panują nad treścią, którą chcą wyrazić — treść ta bowiem jest przez nich samych, osobiście głęboko przeżyta w okopach i szeregach partyzanckich.

— Czy powinno i czy powstanie jakieś nowe dzieło syntetyczne o minionej wojnie na wzór „Wojny i Pokoju" Tolstoja? Nie zastanawiamy się nad tym. Uważam, że nie powstanie i nie powinno powstać. Nie forma bowiem decyduje o tzw. monumentalności dzieła, o tym, czy jest ono syntetyczne, czy też fragmentaryczne. Nie powtarzajmy zewnętrznych form, należących do przeszłości. Dla nas miernikiem wartości dzieła literackiego jest jego treść, jego zgodność z rzeczywistością, zrozumienie rzeczywistości przez autora, a nie powierzchowne odbicie zjawisk życia. Tą miarą mierzymy dzieła wielkich pisarzy minionych czasów.

— Najistotniejszą dla nas sprawą — mówił Erenburg — jest bliska więź, łącząca pisarza z czytelnikiem. Dla naszych czytelników, mimo wszelkich powojennych trudności technicznych w dziedzinie wydawniczej, książka jest potrzebą dnia, a nie luksusem. Czytelnik nas rozumie — szuka w książce odbicia i oceny rzeczywistości, odpowiedzi na nurtujące go pytanie — i to znajduje.

— Na tym polega tragizm wielkich pisarzy amerykańskich, których jest zresztą przerażająco mało na tle powodzi bezwartościowej szmiry zalewającej amerykański rynek księgarski — że tłum, który ich otacza, jest tylko obiektem, tematem ich twórczości, nie zaś odbiorcą tej twórczości. Przypomina to trochę architekturę amerykańską: obok drapaczy chmur — małe domki. Brak domów średniej wielkości — tak samo brak literatury dobrej, średniej miary. Pomiędzy świetnymi pisarzami a społeczeństwem istnieje przepaść niezrozumienia.

— Dlatego, kiedy jeden z krytyków amerykańskich zapytał mnie, czemu jesteśmy tacy dumni z naszych pisarzy, odpowiedziałem mu:

— My nie jesteśmy dumni z naszych pisarzy. Jesteśmy dumni z naszych czytelników.

L. Zajączkowska



Ilia Erenburg (drugi od lewej strony) zwiedza wraz z przybyłymi do Polski pisarzami radzieckimi ruiny Warszawy.

ILJA ERENBURG

TRIUMF ŚWIATŁOŚCI

Przełożył z rosyjskiego **Jerzy Wyszomirski**

W jasny dzień majowy tłumy wypełniały ulice Moskwy. Nie było ani widowisk ani widzów: ludzie wylegali na place, albowiem radości ludzkiej zrobiło się za ciasno w czterech ścianach. Radość ta była skupiona i czystotna. Być może nie każdy w chwilach owych myślał o patosie historii, wszelako każdy odczuwał podniosłość tego, co się działo. Było mało okrzyków i dużo tych uśmiechów, które świadczą o wzlotach ducha człowieczego. Moskwa, a z nią cała nasza ojczyzna i poza jej granicami Czerwona Armia, wyzwolone narody Europy i narody za morzami — każdy człowiek i cała ludzkość, wszystko jak gdyby odczuwało narodziny nowej ery. Na oczach wszystkich dzień stawał się datą, myśli nasze, czucia i ruchy — historią.

Każdy rozumiał, że świętujemy nie jedno z tych zwycięstw, w jakie obfituje przeszłość wielu mocarstw, że triumfuje nie jedno państwo, nie sojusz państw; zwycięstwo nasze jest znaczniejsze i ważniejsze: w długotrwałej walce ciemności ze światłem zwyciężyła światłość, zwyciężyła dlatego, że światłość leżała w naturze społeczeństwa radzieckiego, w świadomości człowieka radzieckiego. Dziejopis podkreśli, że w piątym dziesiątku lat wieku XX wytyczone zostały drogi dalszego rozwoju ludzkości: faszyzm, ten najgroźniejszy zamach na postęp został obalony, kultura uratowana i rozum zatriumfował.

Chciałbym przypomnieć początki tego zaćmienia, które sprowadziło na Europę noc tak straszliwą. Przeszło dwadzieścia lat temu, na wąskich ulicach miast włoskich po raz pierwszy zobaczyłem faszystów; czarne były ich koszule, czarne ich sprawki: łupili domy ludowe, poili nieposłusznych rycyną i ryczeli jak szakale na pustyni. W rok potem ujrzałem ich niemieckich zwolenników, którzy strzelali zza węgła, znęcali się nad starymi Żydówkami i zapowiadali, że zdobędą świat...

Nad kołyską faszyzmu stanęły nie tylko czarownice, ale i głupie wróżki. Ohydna choroba szerzyła się, porażając wciąż nowe i nowe komórki. Przemysłowcy Ruhry, junkrowie, soldateska niemiecka nie żałowali ani pieniędzy ani słodkich słówek byłemu frajtrowi. Za fürerem ciągnęli rozeźleni wykolejeńcy, włóczykije, wypełzający z najróżniejszych nor — od sutenera Horsta Wessel do grafomana Goebbelsa. Za fürerem poszły mieszczuchy, pełne wiary w to, że zdobycie świata jest przedsięwzięciem solidnym i zyskownym. Tym sposobem na czele jednego z największych państw znalazł się człowiek wyjątkowego nieuctwa, pozbawiony wszelkich zasad moralnych, o narowach histeryczki i krwiożerczością, niewidzianą dotychczas w dziejach. W Berlinie poczęły płonąć stosy ksiąg, a w obozach koncentracyjnych Dachau i Buchenwaldu umierali co dnia ludzie uczciwi, którzy się nie chcieli poddać faszyzmowi.

Rozumie się, że faszyzm w Niemczech zatriumfował nie przypadkiem: organizm tego państwa był przygotowany na przyjęcie choroby. Już na dziesiątki lat przed ukazaniem się „Mein Kampf" zaborcy niemieccy udowadniali swe prawa do panowania nad światem, krzyczeli, że „Słowian należy przyprzeć do muru", że „Francja jest zwyrodniała", Anglia zaś „zgrzybiała". Hitler nie spadł z nieba...

Z faszyzmem walczyło wiele narodów, wiele milionów ludzi. Z faszyzmem walczył winogrodnik katoloński, który usiłował z karabinu razić „Junkersy". Z faszyzmem walczyły potężne armie amerykańskie, które przybyły do Europy wówczas, gdy faszyzm już nie marzył o napaści. Historycy odmierzą wkład każdego narodu do wspólnej sprawy zwycięstwa: podniosą niezłomność londyńczyków pracę robotników amerykańskich, dzielność sojuszniczych lotników i marynarzy, męstwo partyzantów Tito, wolnych strzelców Sabaudii, powstańców Słowacji, upór z jakim Polacy i Norwegowie, Czesi i Holendrzy walczyli z najeźdźcami. Historycy stwierdzą, że faszyzm miał niemało przeciwników.

Ale śmiertelny cios faszyzmowi zadała Czerwona Armia...

Przed wybuchem wojny mówiliśmy niejednokrotnie naszym przyjaciołom zachodnim, że nas najżywiej obchodzi sprawa ocalenia kultury wszechludzkiej. Każdy obywatel radziecki doznawał goryczy, wiedząc, że walą się starożytne budowle Anglii, że Sorbona jest zamknięta, że zabytki Hellady są pokaleczone, że młodzi Norwegowie, wśród których może być nowy Ibsen i nowy Nansen, giną w katowniach Gestapo. Myśmy nie mogli wyobrazić swojej kultury poza obrębem ogólnoludzkiej. W dziejach ludzkości, w tym wyścigu sztafetowym, pochodnia Prometeusza przechodzi od narodu do narodu. Wiedzieliśmy że pochodnia ta jest w naszych rękach. I biliśmy się nie tylko o nasze drogie miasta i sioła, nie tylko o Kijów i stepy, o ciało Rosji — biliśmy się pochodnią Prometeusza: o światłość, postęp i kulturę...

Faszyzm został zwyciężony na polu bitwy. Czarownice kryją się. Ale żyją. Wydają mi się głęboko symboliczne ostatnie dni Berlina, kiedy hitlerowcy próbowali się odstrzeliwać w podziemiach, w tunelach metra, w rurach kanalizacyjnych: to były szczury zadżumione. I nie wszystkie szczury wyłapano. I nie o to nawet chodzi, jaką kryjówkę zapewnił sobie ten czy inny przywódca faszyzmu, uniknąwszy niewoli. Chodzi o to, że czarownice mamroczą o konieczności uratowania warchołów faszystowskich gwoli „utrzymania porządku", głupie zaś wróżki stękają przy tym płaczliwie i nawet mówią o humanitaryzmie.

Obroniliśmy światłość w strasznych dniach bitew; chcemy ją obronić przed ciemnymi knowaniami; przed oszustami i małodusznymi matołami. Żeby człowiek mógł żyć spokojnie, pracować, wychowywać dzieci, budować miasta — trzeba wypalić ropień faszyzmu, wypalić doszczętnie...

Film TYGODNIA

ODBUDOWUJEMY SIĘ



Prezydent Bierut i premier Cyrankiewicz w towarzystwie wiceprez. Szwalbego, min. Bermana i inż. Mikułowicza zwiedzają budowę gmachu Min. Przemysłu i Handlu.

ILIA ERENBURG W WARSZAWIE



Pisarze radzieccy zwiedzają zabytki starej Warszawy. Na pierwszym planie Ilia Erenburg.

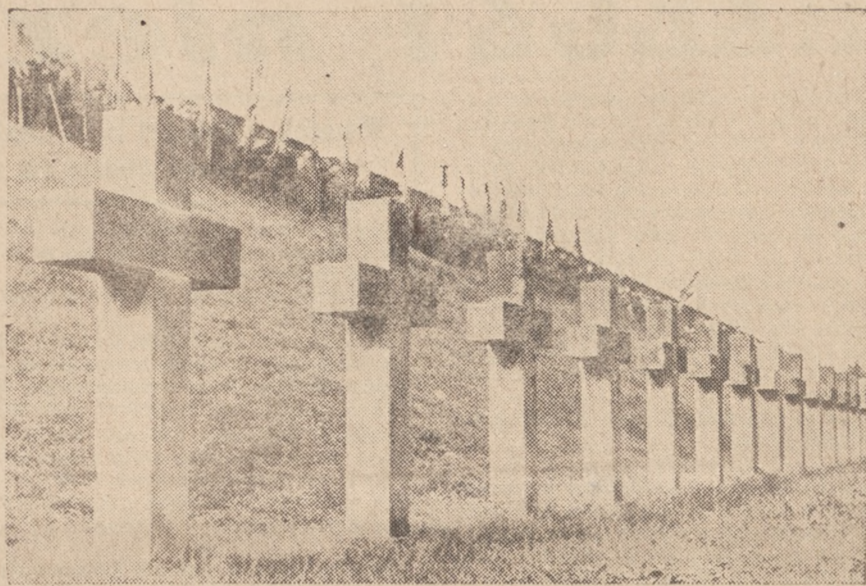
CHÓR SWIESZNIKOWA W STOLICY



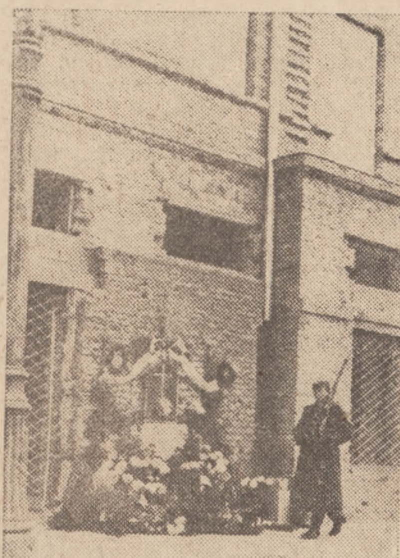
Fot. Film Polski

W ramach miesiąca wymiany kulturalnej między Polską a Związkiem Radzieckim przybył do Warszawy chór Swiesznikowa, który koncertować będzie w kilku miastach Polski.

DZIEŃ ZADUSZNY W WARSZAWIE



Poczty sztandarowe organizacji partyjnych na miejscu straceń członków PPS w 1905 r. na stokach Cytadeli warszawskiej w Dzień Zaduszny.



Miejsce straceń na Nowym Świecie.



Warta honorowa przed gruzami „Pawiaka" w Warszawie.



Mieszkańcy Starego Miasta w Warszawie złożyli kwiaty na miejscach gdzie zginęli najbliżsi.



30 bm. przybyła do Warszawy delegacja parlamentarzystów belgijskich z prezesem belgijskiej partii liberalnej, senatorem Rogenem Motzem na czele.

Fot. Film Polski

Tedeusz Schiele

RZECZY *niezbyt* WOJENNE

Wyjątek z książki p. t. „Spitfire — Wielka Niedźwiedzica", która ukaże się niebawem w druku

Kiedyś w niedzielę wieczorem siedzieliśmy z Tadkiem*) w głębokich fotelach przed dużym kominkiem w którym paliły się kłody drzewa. Przysiadło się do nas kilku Anglików. Zadzwoniliśmy po Waaikę i zamówiliśmy whisky. W toku rozmowy zeszliśmy na temat szyków.

„Latacie znacznie bliżej w szyku od nas" — przyznał któryś z Anglików — „jaka jest jednak granica w zbliżeniu się maszyny do maszyny"? — Zapytał z odcieniem złośliwości w głosie i z miną laika.

„Nie ma żadnej" — prowokująco odparł Tadek.

„Jak to nie ma?"!

„Dlatego że moglibyśmy na przykład z Haberbuschem**) tak blisko się minąć, że płat dotknąłby i podgiął, powiedzmy, dziesięcio-centymetrowy drucik na płacie drugiej maszyny".

Spojrzałem niepewnie na Tadka. Co mu z tym drucikiem do łba strzeliło? Po paru mrugnięciach okiem w oczach jego odczytałem ostrzeżenie: trzymaj fason!

Is it possible?

„Naturalnie" — potwierdziłem, zdziwiony lekceważącą pewnością brzmienia mego głosu.

Anglik zainteresował się. Drucik 10-cio centymetrowy? Podgiąć w locie płatem ,mijając się?! Kogo wy chcecie bujać?! Załóżmy się!

„Dobra"! — zgodził się Tadek — 5 butelek whisky.

Ale przecież... próbowałem protestować.

„Pięć butelek" — obciął mnie Tadek.

Pięć butelek — jak echo powtórzył Anglik.

Jutro rano. Przy świadku. Drucik będzie przyczepiony na końcu płata mojej maszyny. Końcówka skrzydła Tadka będzie posmarowana czarnym olejem ,by był widoczny znak dotknięcia drucika.

Rano zamontowałem drucik przy pomocy mechanika który nie orientując się o co chodzi przyglądał się temu wszystkiemu nieufnie.

„Tak niby dla ozdoby..."

„Nie, tu chodzi o coś innego, takie jedno doświadczenie..."

Kudrys był dowódcą naszej eskadry. Uprosiliśmy go, „że nic o niczym nie wie" i żeby na godzinę 10-tą wyznaczył lot Tadkowi na oblatanie maszyny i mnie na próbę pogody, czy coś takiego.

Anglik na Hurricane miał do nas dołączyć w umówionym miejscu i wysokości.

W ścisłej tajemnicy przed dowódcą dywizjonu wystartowaliśmy w odstępach parominutowych. Po rendez-vous we trójkę wyszliśmy nad niskie chmurki, by nie rzucało.

Wystabilizowałem maszynę jak najdokładniej po horyzoncie, otwarłem budę i czekałem z bijącym mocno sercem. Drucik, przeraźliwie głupio sterczący na końcu mego prawego płata, w locie wygiął się nieco pod wpływem oporu powietrza, zmniejszając odległość do kilku centymetrów. Stabrowski odszedł kilkaset metrów w bok w górę i też czekał... Anglik przyglądał się temu wszystkiemu z boku z drugiej strony.

„Gotów" — słowo to zabrzmiało jak jęk skazanego na śmierć.

„O. K. Haberbusch! — Nic się nie bój!"

Bałem się okropnie, no ale co było robić. Z rosnącym przejęciem obserwowałem Spitfire Tadka, zbliżającego się do mojego Spitfire'a z tyłu z góry...

Niemożliwe — pomyślałem — nic da rady... zderzymy się i trzeba będzie skakać!

Tadek dochodził, już bardzo blisko... bliżej... jeszcze bliżej... zderzenie wydawało się nieuniknione...!

Napiąłem mięśnie i znieruchomiałem... jeszcze sekunda i skrzydło Spitfire'a Tadka dotknęło drucika, podginając go do góry!!! Umie bestia latać!

Minąwszy mnie Tadek kropnął beczkę w górę, a ja, po zamknięciu budy, wywrót, zostawiając zdziwionego Anglika samego. Niech policzy, ile go to będzie kosztować!

Na ziemi specjalna komisja stwierdziła fakt.

Butelki uroczyście przyjęliśmy od zmartwionego Anglika, a drucik wysłałem Jeanne w poleconym liście, z krótkim dopiskiem, że przyniósł on mi szczęście, taktycznie nic nie wspominając, że przede wszystkim przyniósł dwie i pół butelki whisky i to w czasach, gdy tak ciężko było nabyć dobry trunek w Anglii.

✱

Mówiąc już o lotach nie związanych z wojną, trudno mi nie wspomnieć o locie w roli naganiacza zwierzyny. Zaczęło się od tego, że kiedyś Tadek w czasie wolnym od służby, zjawił się w dispersalu w stroju myśliwego i ze strzelbą pod pachą. Na głowie miał komiczny, chyba własnej roboty, kapelusz z piórkiem, a przez ramię zawieszoną torbę z amunicją i z czymś, co łudząco przypominało kształt butelki. Pewno termos z ciepłym mlekiem.



Rys. M. Nestorowicz

Na ziemi specjalna komisja stwierdziła fakt

„Słuchaj-no Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy — byłem rano na skraju tego lasu, z tamtej strony lotniska, za torem. Bez nagonki szkoda marnować czas. Poleć-no i nagoń ja kieś ptactwo, lub zające. Tylko z czuciem i mądrze, żebyś nie wypłoszył w przeciwną stronę."

Kudrys ze zrezygnowanym machnięciem ręki, zgodził się. Zapisał lot w książce, zautoryzował go, zadzwonił do Kontroli Ruchu: tu 308-my, mówi dowódca eskadry B, jedna maszyna „H", pilot Nr 20 startuje za dziesięć minut na rozpoznanie pogody". Lokalny lot, więc nawet nie trzeba informować Operation Grupy.

Nagoniłem mu tę zwierzynę, jak umiałem najlepiej. Po wylądowaniu odebrałem telefon z Kontroli Ruchu:

„No i jaka pogoda..."

„Średnia... średnia... na północy trochę zaciąga..."

„A rosa jest?"

„Co jest?"

„Rosa."

„Nie wiem... dlaczego?..,"

„A bo przez chwilę wydawało nam się, że pan uporczywie chciał sprawdzić... zresztą nieważne... a grzyby w lesie były?"

Zorientowałem się.

„Ja tak tylko przy sposobności..."

„Ma pan szczęście, że ani dowódcy Stacji, ani dywizjonu nie ma... Latał pan poniżej drzew... co to właściwie było?"

„Nagonka. Kolega poluje..."

„Ustrzelił coś" — pytanie padło z nagłym zainteresowaniem.

„Nie wiem... sądzę że tak".

„Tu mówi kpt. Robilard... wie pan co Mr. Schiele..." — głos zniżył się w słuchawce — „jestem zapalonym myśliwym. Mam piękną dwururkę... zresztą pogadamy w Kasynie..."

„O. K."

Tadek będzie miał kumpla na polowanie, ale jeżeli im się wydaje, że będę „w charakterze skrzydlata nagonka", to się grubo mylą...

✱

W kilka dni później odbyłem bardzo oryginalny lot. Eskorta samolotów... niemieckich. Maszyny niemieckie zmuszone do lądowania na terenie Anglii zostały odremontowane i przemalowane na kolor R.A.F.-u. Zwiedzały one różne lotniska, gdzie piloci mogli dobrze się im napatrzyć, poznać ich właściwości w powietrzu i zapamiętać sylwetki. Otóż w przelocie z lotniska miały one silną eskortę Spitfirów, aby uniknąć ewentualnych niespodzianek i nieporozumień.

Śmieszne uczucie lecieć prawie że w szyku z Messerschmittem i Junkersem.

Pomimo, iż lotów było dużo, a czasu mało, dywizjon urządził rewię na lotnisku. Anglo - Polish - Revue. Upoważniony wraz z kolegą przez dowódcę Stacji, do pełnienia przyjemnej funkcji — wybraliśmy kilkanaście najładniejszych dziewcząt Waaf, którym wmówiliśmy olbrzymie znaczenie roli girlasek w rewii — dla utrzymania ducha w przemęczonym trudami wojny wojsku. Zapał mój posunął się tak daleko, że nawet zgodziłem się wziąć udział w dwóch skeczach, zastrzegłszy sobie, iż rola głupka najbardziej mi z natury i urody odpowiada. Nauczyliśmy W.A.A.F.-ki śpiewać po polsku, co było nielada sukcesem. Występ był udany i lokalna prasa zamieściła nam niezwykle życzliwe komentarze.

Po tygodniu, 24 czerwca, obchodzimy ściśle w ramach Dywizjonu dzień Święta. Imię Mariana Pisarka odżywa w naszych sercach.

W okresie tym szkolą się nowoprzybyli piloci z O.T.U. Znów w wypadku tracimy jednego pilota, drugi ranny. W oczekiwaniu na specjalną operację w związku z przyszłą inwazją kontynentu, dyon spędza tydzień w Redhill (poł. Anglia), lecz bezskutecznie. Operacja nie dochodzi do skutku i wracamy na swoje lotnisko.

Przed odlotem Dywizjonu do Heston, pod Londynem, „na wojnę", czy jak kto woli „na front" — zdążyłem dotrzymać daną obietnicę i odwiedzić Jeanne, która widząc krążącego nad lotniskiem Spitfire'a, pobiegła do Kontroli Ruchu.

Moją „H" otoczyli uczniowie Szkoły Pilotażu w Bobington. Był to pierwszy Spitfire, którego widzieli z bliska.

Będąc w przelocie do Northolt, gdzie miałem oddać jakieś papiery, mogłem z godzinkę pogwarzyć z Jeanne. Cieszyliśmy się oboje, że już za tydzień będzie ona z powrotem w cywilu.

Jeanne pomogła mi zapiąć pasy. Machnąłem beczkę nad gapiącymi się i kiwając skrzydłami na znak pozdrowienia, wziąłem kurs na Londyn.

Po południu wróciłem do Hutton Cranswick i dowiedziałem się, że następnego dnia odlatujemy do Heston. Psia krew, nie zdążę odebrać bielizny z prania. Trudno, będą mi musieli przysłać pocztą.

✱

Tęsknota za Dywizjonem coraz bardziej mi dokuczała. Kurs instruktorski traktowałem jako zło konieczne i ani na chwilę nie przyszło mi na myśl poświęcić się tej pracy, na wymagany okres co najmniej dwóch lat. Żeby to trwało parę miesięcy, to jeszcze, ale dwa lata...

Jedyne przyjemne wspomnienia z kursu były natury lotniczo-żywnościowej. Ściśle mówiąc chodziło o jajka.

Jeanne otrzymywała jak wszyscy inni na kartki dwa jajka miesięcznie. W mieście o kupnie większej ilości nie mogła nawet marzyć.

Kiedyś z Józkiem wysłał nas instruktor na trójkąt nawigacyjny na Masterze. Przelatywaliśmy nad górzystymi wioskami szkockimi. Trudno było nie zauważyć dziesiątek pięknych, rozległych farm w absolutnym, górskim pustkowiu. Po polach rozstawione stały kurniki i setki kur widoczne były z powietrza.

Pomysł nie był wcale nadzwyczajny. Po prostu należałoby usiąść na jakimś większym polu koło farmy, trzymać silnik na małych obrotach, a jeden z nas poleciałby kupić jajka. Tak oryginalne zakupy powinny wzruszyć farmera. Głównym kłopotem było jednak lądowanie. Na małym Magisterze nie przedstawiało by to najmniejszych trudności, ale Master... Master był szybką, ciężką, nowoczesną maszyną o dużej szybkości lądowania i długim wybiegu. Z pomocą przyszedł nam... kurs instruktorski. Jedną z wielu lekcji było przymusowe lądowanie oraz lądowanie na punkt, lekcji, którą ćwiczyliśmy wielokrotnie.

Naradzaliśmy się z Józkiem w powietrzu, co robić. W końcu będąc w pierwszej kabinie, zaproponowałem mu lądowanie.

„Dobra — ląduj — tylko jak sobie mordę nabijemy i grata rozpirzymy, to już ty będziesz odpowiadał — ja zeznam, że się zdrzemnąłem i o niczym nie wiedziałem."

„O. K. Józiu — tylko ile masz forsy przy sobie?"

„Dwa funty".

„Starczy — przygotuj je — oddam ci jutro".

„Jak cię znam, nie jutro, tylko na pierwszego, żebraku".

„Zgadza się".

Obejrzałem sobie łączkę uważnie. Można siadać z powodzeniem. Wypuściłem podwozie i klapy i z duszą na ramieniu, a sercem w gardle, dotknąłem kołami trawy. Hamulce! No... Dzięki Bogu, siedzimy. Obeszło się bez cudów.

Pobiegłem jak wariat do budynków farmy. Józek przez ten czas kołował z powrotem, aby móc wystartować pod wiatr.

Naturalnie kupiłem parę tuzinów i w eskorcie paru młodych chłopaków szkockich, wśród ogólnej radości i wrzawy, wróciłem do czekającej maszyny. Bez zapinania spadochronu, bez przypięcia się pasami, z jajkami na kolanach byłem gotów. Józek wystartował. Cała historia trwała zaledwie 10 minut, tak że nawet silnik nie zagrzał się zbytnio. Przy podchodzeniu do lądowania, błagałem Józka:

„Siadaj jak na jajkach, człowieku — bo będzie tragedia".

Józek wylądował gładko i delikatnie. Jajka zostawiłem mechanikowi, aby któryś z instruktorów nie zobaczył. Zaprosiłem Józka na kolację, naturalnie — na jajecznicę!

*) Ś. p. por. pil. Tadeusz Stabrowski, 308 Dywizjon Myśliwski.

**) Przezwisko autora.

Marian Podkowiński

Koniec GOEBBELSA

Ze wszystkich bożków hitlerowskiego Olimpu, którzy uniknęli Norymbergi, śmierć Goebbelsa jest faktem dziś znanym ponad wszelką wątpliwość. Wiemy, że zginął wraz z całą swoją rodziną w bunkrze berlińskiej Reichskanzelei, przeżywszy swego „wodza" zaledwie o kilka dni. W testamencie, jaki pozostawił, a który dołączony był do papierów znalezionych po Hitlerze u oficera SS—Waffen Zandera, ostatniego adiutanta Martina Bormanna, Goebbels wyraźnie pisał, że popełnia wraz ze swą rodziną samobójstwo — mimo zakazu Führera — ponieważ nie wyobraża sobie, aby mógł opuścić Hitlera w tak tragicznej chwili i żyć dalej w Niemczech po jego śmierci. Znalezione zresztą przez Rosjan napół zwęglone zwłoki Goebbelsa potwierdziły wkrótce autentyczność owego testamentu.

Ale podobnie, jak się rzecz miała z Hitlerem i Bormannem, wielu spośród Niemców, wierzy nadal, że i Goebbels żyje gdzieś w ukryciu, zręcznym manewrem zmyliwszy jedynie czujność władz alianckich. Małoż to razy człowiek ten oszukał świat?! — powiadają nieufni. Bardzo ciekawe jest mniemanie wielu Niemców, że Goebbels był zbyt wielkim tchórzem, aby zdobył się na uczynek, który społeczeństwo niemieckie tak chętnie widziało np. u Goeringa. Paradoksalny jest również fakt, że człowiek który umiał miliony okłamywać, nigdy nie przekonał nikogo w Niemczech o swej osobistej odwadze!

Bawiąc niedawno w Zurichu na Kongresie Socjalistów, natrafiłem przypadkowo na ciekawą książkę Curta Riessa, która świeżo opuściła prasę. Są to zapiski dotyczące Goebbelsa. Autor, znany przed 1933 rokiem dziennikarz niemiecki, który wyemigrował do Ameryki, aby po latach powrócić do swej pierwszej ojczyzny w charakterze korespondenta wojennego, specjalnie zainteresował się śmiercią „króla Bluff'u", przemierzając prawie całe Niemcy w poszukiwaniu świadków jego zgonu. Zdobył też wiele ciekawego materiału, czerpiąc zawsze dane z pierwszej ręki. Curt Riess, który jest w naszym Press - Campie berlińskim, znany ze swej książki „The Nazis gone underground" jest zresztą dzisiaj w Ameryce najlepszym i najbardziej autorytatywnym publicystą w sprawach hitlerowskich.

Posłuchajmy więc jego opowieści na temat śmierci Goebbelsa.

Goebbels nie po raz pierwszy nosił się z myślą o samobójstwie. Jego sekretarka oświadczyła Riessowi, że już w styczniu 1945 r. słyszała o tym. I tak kiedyś podczas dyktowania listów, nadeszły najnowsze wiadomości z frontu, o marszu Aliantów ze wschodu i zachodu Goebbels przeczytał je, położył wreszcie na bok i długo milczał. W końcu powiedział: „Gdy się to wszystko słyszy, człowiek po prostu zastanawia się, czy nie lepiej byłoby zaraz skończyć z sobą i z rodziną". W tym samym okresie powiedział kiedyś Fritschemu: „Nie mam bynajmniej chęci żyć w Niemczech, karmionych przez kwakrów, a już na pewno nie życzę sobie, aby moje dzieci żyły w czasach, w których moje nazwisko byłoby przekleństwem".

Ale w tym czasie owe momenty rozpaczy były jeszcze dość odosobnione.

Starał się chwytać każdej iskierki optymizmu, jak tonący brzytwy. W lutym Goebbels powie znów do Fritschego: „Po wojnie pojadę do Ameryki. Tam przynajmniej ludzie potrafią ocenić geniusza propagandy i dobrze zapłacić". W Norymberdze Fritsche zresztą potwierdził autentyczność tych słów swego szefa, chociaż podkreślił, że Goebbels wtedy oczywiście żartował. Iście niemiecki humor!

Jego optymizm w tak ciężkich chwilach Berlina tłumaczono sobie i tym, że — podczas gdy prawie wszystkie gmachy państwowe leżały w gruzach — ministerstwo propagandy wciąż jeszcze stało nienaruszone.

Gdy jednak w połowie marca i ten gmach dostał dobrze po kościach, Goebbels stracił wiele na rezonie. On i jego najbliżsi współpracownicy przenieśli się do prywatnego mieszkania Goebbelsa przy Bramie Brandenburskiej. Jego stenograf notuje z tamtych dni: „I tutaj częste wstrząsy, brak światła i inne — jakże wtedy drobne — dokuczliwości wojenne, stwarzały ów ponury nastrój zbliżającego się końca. Konferencje odbywały się przy świecach, gdyż okna dla braku szyb zaklejono papą, a już doprawdy było nieprzyjemnie, gdy podmuchem wiatru targane firanki, gasiły i te nieliczne świece na stole, które z trudem zdołano otrzymać z intendentury..."

Raz jeden jeszcze tylko wezbrało serce Goebbelsa nadzieją.

Stało się to, gdy otrzymał on wiadomość o nagłej śmierci prezydenta Roosevelta. Około jedenastej godziny wrócił z frontu, oddalonego już o dwie godziny autem od Berlina. Jego ludzie czekali na niego przed bramą. „To jest więc ten cud, na który czekaliśmy tak długo" — zawołał Goebbels na przywitanie swych współpracowników. Mówili wtedy wiele o Fryderyku Wielkim, który w ostatniej chwili ocalił Prusy skutkiem śmierci carowej Elżbiety. Telefonował zaraz do Hitlera, kazał podać szampana i rozpływał się w historycznych reminiscencjach.

Większość hitlerowskich bonzów — sam zresztą Himmler — łudziło się nadzieją pertraktacji z Aliantami i ratowania własnego życia. Goebbels nie miał tych złudzeń. Wiedział doskonale, że długo to nie potrwa i wcześniej czy później zawiśnie na szubienicy. Jasne jest, że rodzinę mógł uratować, jak uczynili to inni. Przecież i „die Hohe Frau" — Emma Goering — i Brigitta Frank, i żony Sauckla, Hessa, Schiracha i Fricka żyją dotąd spokojnie, mimo że ciągle słyszymy, że już są aresztowane. Pani Goering urządzała jeszcze do niedawna „teaparties" w swym myśliwskim zameczku pod Neustadt, w Bawarii.

Goebbels postanowił jednak skończyć ze swą rodziną.

Jego żona Magda (z którą zresztą nigdy nie żył w zgodzie, wolne od pracy chwile spędzając ze znaną czeską aktorką Lidą Baarovą), wraz z sześciorgiem dzieci i swą matką (Frau Berendt) mieszkała w pałacu Goebbelsa w majątku Lanke, na północ od Berlina. Majątek ten „otrzyma" Goebbels jako dar stolicy Rzeszy dla swego Gauleitera. W połowie marca, Goebbels — jak powiada jego stenograf — sprowadził całą rodzinę do Berlina i osiedlił na przedmieściu Wannsee. Magda Goebbels nie orientowała się jeszcze wtedy w zamiarach swego męża. Jej sekretarka oświadczyła Riessowi: „14 kwietnia, pojechała Magda po raz ostatni do miasta. Na widok bunkru przeciwlotniczego przy Zoo, zauważyła: — kiedy stanie się niebezpiecznie, wynajmę tutaj pokój dla mnie i dla dzieci Zaniemówiłam z wrażenia, że kobieta ta nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji".

Pani Berendt, teściowa Goebbelsa opowiada natomiast:

— 19 kwietnia 1945 r., tuż przed dwunastą w nocy, Goebbels dał nam znać telefonicznie do Wannsee, aby Magda wraz z dziećmi natychmiast udała się do Berlina. Córka moja obudziła dzieci i wszyscy, tak jak stali, opuścili mnie. Wiedziałam, że ich już nigdy więcej w życiu nie zobaczę".

Gdy Riess zapytał panią Berendt, dlaczego nie zatrzymała wtedy przynajmniej wnuków, staruszka odpowiedziała spokojnie: „Córka miała rację. A któżby dziś mógł wyżywić te dzieci? Przecież ja jestem stara i biedna".

Wypadki szybko następowały po sobie. Nadszedł dzień 20 kwietnia— ostatnie urodziny Hitlera. Wszyscy składali powinszowania w bunkrze kanclerskim. Tego dnia też Goebbels widocznie wtajemniczył żonę w swe plany, gdyż ta parokrotnie wyraziła się wobec służby: „Bogu dzięki, że przynajmniej dzieci niczego nie przeczuwają!" Powiedziała im bowiem, że Hitler w ostatecznym wypadku jest w posiadaniu jakiejś nadzwyczajnej „wunderwaffe", która położy kres wrogim zwycięstwom. I dzieci uwierzyły w to, co zresztą tym mniej jest dziwne, skoro miliony Niemców dawały wiarę podobnym bajkom.

21 kwietnia 1945 r. Z notatnika stenografa Goebbelsa:

„W sobotę, 21 kwietnia, po konferencji ministrów, zawezwani zostali do Goebbelsa wszyscy kreisleiterzy Berlina... Bałagan był już tak wielki, że po raz pierwszy niedbale notowałem przemówienie ministra, co było dawniej przecież nie do pomyślenia. Nawet adiutant ministra nie pamiętał o tym. Goebbels powiedział wtedy: — Wymagam od was, abyście wytrwali na swych stanowiskach. Jeśli zajdzie potrzeba, zginiemy na miejscu... Takim tonem przemawiał ten człowiek, któremu po raz pierwszy głos drżał, a oczy wydawały się być pełne łez".

Ale już po południu sekretarki Goebbelsa uciekły na rowerach z miasta o czym on dowiedział się dopiero nazajutrz i co wprawiło go w zdumienie. Jeden z referentów prasowych pakował właśnie swą walizkę, gdy wszedł stenograf Goebbelsa. Urzędnik pokazał mu małą, brunatną ampułkę: „Wie pan co to jest? Cjanek potasu. Ta sztuka kosztuje 11 tysięcy marek. W hotelu „Adlon" ludzie już tym handlują. Ostatecznie nie jest to najlepsza śmierć. Jedna kropla na język, i jakby pana nagle piorun trafił!"

22 kwietnia.

Od rana płoną akta na dziedzińcu. Goebbels pisze w swoim dzienniku:

„Jutro ogłoszę Berlin miastem wojennym(!), jeśli nie zajdzie coś pozytywnego dla nas..."

Normalna konferencja u ministra nie odbyła się, ponieważ nikt nie mógł się dostać do mieszkania Goebbelsa. Natomiast podczas przemówienia jego do berlińczyków (nagrane na taśmę metodą Stilla) wybuchł granat w pobliżu mieszkania. Reakcja Goebbelsa: „Jak pan sądzi — pyta stenografa — czy ludzie usłyszą ten huk? Przecież to będzie świetny efekt dźwiękowy..."

Był to ostatni trick propagandy największego kabotyna III Rzeszy.

Po obiedzie i małej drzemce. Goebbels wraz z rodziną dwoma autami wyjechał w niewiadomym kierunku. Potem wyjaśniło się, że Goebbels uciekł do bunkru Hitlera w tajemnicy przed najbliższymi nawet ludźmi, aby nikogo więcej ze sobą nie brać. Hitler i tak był wściekły, gdy gromadka dzieci zapełniła i tak już ciasny schron.

Po wyjeździe szefa, ogólna panika ogarnęła całą kwaterę Goebbelsa.

Sekretarki, które jeszcze zostały, były zrozpaczone. Wszyscy pakowali się, chcieli uciekać, ale nie było to już takie proste, ze względu na bardzo silny obstrzał artyleryjski. Nawet oficerowie stracili panowanie nad sobą. Ostatecznie nikt nie chciał być schwytany w domu Goebbelsa przez Rosjan. Nieco później Volkssturm obsadził dom, a ostatni urzędnicy ministerstwa propagandy „przeminęli z wiatrem" — i tak „królestwo kłamstwa" przestało egzystować, po piętnastu bez mała latach swej trującej działalności

Z dawnego personelu tylko dwie osoby podążyły za Goebbelsem: jego prywatna sekretarka i adiutant Schwaegermann. Oni to byli świadkami owej rozmowy, kiedy to Magda Goebbels starała się przekonać swego małżonka, iż należałoby dzieciom oszczędzić samobójczej śmierci. Obiecywała nawet, że sama odprowadzi je samolotem w bezpieczne miejsce, by potem wrócić i zginąć wraz z nim, przy boku Hitlera. Goebbels miał wtedy odpowiedzieć: „Dzieci są moją cząstką. Pragnę wszystko ,co jest moje, zniszczyć. Nic z tego nie może dostać się w ręce wroga".

Koniec Goebbelsa trwał dziesięć dni.

Hitler wprawdzie ciągle powtarzał, że popełni samobójstwo, nie mógł się jednak do ostatka zdecydować. Goebbels natomiast musiał czekać na śmierć „wodza"; był przecież w testamencie Hitlera desygnowanym na przyszłego kanclerza, a nie chciał zdradzić się przed nim, ze swoich samobójczych planów. Ale gdy po spaleniu zwłok Hitlera w dniu 1 maja, po południu, zebrało się u Goebbelsa kilka osób, ten oświadczył im nagle: „Wódz nie żyje, moi panowie, a ja wraz z moją żoną pójdziemy jeszcze dziś wieczór w jego ślady".

Kto mógł uciekał wobec tego z bunkru, choć nie było to wcale takie proste. Wojska sowieckie zacieśniały bowiem z godziny na godzinę stalowy pierścień wokół centrum starego Berlina. Wtedy rzekomo miał ujść Bormann i jego adiutant Zander, przy którym później znaleziono dwa testamenty Hitlera. Nie powróciła również z lotu pilotka Hitlera, Hanna Reitsch, która miała zawiadomić ostatniego marszałka, kóry jeszcze się bronił, Rittera von Greim „aby spieszył Berlinowi z pomocą.

Wszystko było już spóźnione.

Około godziny siódmej wieczór, 1 maja, adiutant Schwaegermann czekał w przedpokoju Goebbelsa, gdy nagle do pokoju dzieci weszła Frau Magda. W kilka minut później wróciła szlochając i objąwszy adiutanta, zawołała: „Właśnie teraz otrułam moje dzieci" .I oboje udali się do pokoju nowego kanclerza Niemiec. Ten siedział blady, a ujrzawszy wchodzącego adiutanta, zawołał z patosem: „Schwaegermann, to jest wielka zdrada. Generałowie opuścili Fuehrera. Wraz z moją żoną wybrałem śmierć. Pan musi natomiast spalić nasze ciała. Czy potrafi pan?"

Goebbelsowa dodała zaś: „Schwaegermann, sam pan widzi, że umieramy przyzwoicie. Jeśli pan zobaczy kiedykolwiek Haralda, niech go pan pozdrowi i powie, jak umarliśmy" (Harald był jej synem z pierwszego małżeństwa).

O wpół do dziewiątej udali się Goebbelsowie do ogrodu. Schwaegermann postawił kilka kanistrów benzyny na schodach i czekał. W parę minut potem dał się słyszeć wystrzał. Adiutant zaniósł benzynę bliżej do ogrodu. O kilka metrów opodal bunkru, który mieści się w ogrodach kancelarii Rzeszy, leżały nieruchomo dwa ciała. Magda otruła się. Adiutant podpalił zwłoki.

W międzyczasie wybiła godzina 9 wieczór. Nikogo już prawie w bunkrze nie było. Trup Goebbelsa nie spalił się. W takim stanie znaleźli go potem żołnierze armii Żukowa.

Berlińczycy długo opowiadali sobie o tym, że Rosjanie powiesili znalezione zwłoki największego kłamcy XX wieku na Bramie Brandenburskiej. Było to jedno z tych kłamstw, którymi tak hojnie szafował za życia ten, który nauczył Niemców lęku przed Rosjanami.

Marian Podkowiński

A. G. Sołowiew

WIELKIE DNI

We wtorek, dwudziestego czwartego października Piotrogród zamienił się w prawdziwy obóz wojenny. Smolny i Zimowy pałac wyglądały jak potężne fortece.

Wszyscy rozumieli, że następuje decydująca chwila.

Bolszewicy na długo przed tym dniem przeprowadzili przygotowania do powstania zbrojnego z niesłychaną energią. Imię W. I. Lenina nie schodziło z ust. Włodzimierz Iljicz zmuszony był przeszło trzy miesiące ukrywać się przed agentami Kiereńskiego, i nikt, prócz najbliższych mu osób, nie mógł go widzieć. Lecz wszyscy wiedzieli, że Lenin jest gdzieś blisko, wyczuwali jego niewidzialne kierownictwo akcją, czytali jego artykuły, czerpali z nich natchnienie.

Od połowy października zaczęły pojawiać się wieści, że Włodzimierz Iljicz znajduje się już w Piotrogrodzie i mieszka nielegalnie gdzieś w dzielnicy Wyborgskiej i że na jego propozycję CK naznaczył dzień powstania, oraz że Lenin wraz ze Stalinem kierują bezpośrednio przygotowaniami do wybuchu rewolucyjnego.

Kiereński, zasiadający w Zimowym pałacu, pierwszy rozpoczął działania wojenne. Na jego rozkaz z samego rana zostały odłączone mosty i wyłączone wszystkie telefony Smolnego. Na ulicach pojawiły się silne patrole i podjazdy kawaleryjskie. Próbowały one zatrzymywać transport rewolucyjny, aresztować bolszewickich robotników i czerwonogwardzistów. Najlepszemu swojemu oddziałowi Kiereński polecił rozbić drukarnię bolszewickich gazet „Robotnicza Droga" i „Żołnierz".

Stalin dowiedziawszy się o napadzie na drukarnię wyszedł bez zwłoki ze Smolnego, przeszedł wzdłuż ustawionych w szyku bojowym samochodów pancernych, wybrał dwa z nich, których obsługa brała udział w wielu bojach i mogła wypełnić tak odpowiedzialne zadanie, i polecił natychmiast skierować się do drukarni, wypędzić stamtąd żołnierzy Kiereńskiego i zorganizować obronę. Po upływie piętnastu minut drukarnia znów rozpoczęła druk bolszewickich gazet.

Wszyscy widzieliśmy, że duszą Smolnego był Stalin. Nie było zdarzenia, które odbyło by się bez jego obecności. W każdej sprawie zwracano się do Stalina. Jego pogląd na jakąkolwiek sprawę był przyjmowany jako dyrektywa samego Włodzimierza Iljicza. Widzieliśmy Stalina wszędzie: na zebraniach, w wojenno - rewolucyjnym komitecie, przy kiosku, gdzie zawsze zbierali się dużymi grupami mieszkańcy Smolnego. Pojawiał się on niespodziewanie i w takich chwilach, kiedy potrzebne było jasne, twarde słowo. Po wyjaśnieniu Stalina wszystko stawało się zrozumiałe. Był on zawsze spokojny, robił wszystko szybko, pewnie i do końca.

Zabezpieczywszy bolszewicką drukarnię zastosował on jednocześnie jakieś „środki" przy telefonach Smolnego: po upływie kilku minut wszystkie telefony zostały włączone. Z ulic stolicy zaczęły znikać patrole Kiereńskiego. Piotrogród prawie całkowicie przeszedł w ręce bolszewików. W połowie dnia spotkałem w korytarzu dwóch swych kolegów — delegatów II zjazdu Rad. Przyszli oni na posiedzenie frakcji bolszewickiej. Skierowaliśmy się do pokoju numer 18, gdzie zbierała się frakcja.

Kiedy weszliśmy, posiedzenie się rozpoczynało. Za niewielkim, poczerniałym stołem, wsparłszy się rękoma, przestępując z nogi na nogę, oczekująco stał Swierdłow. Jego kędzierzawa, czarna czupryna była w nieładzie. Na smagłej zmęczonej twarzy odznaczały się czarne wąsy i krótka broda. Trochę dalej siedział Stalin i z ciekawością przyglądał się, jak rozsiadali się delegaci. Swierdłow zastukał ołówkiem w stół i otworzył posiedzenie frakcji. Wszyscy rozumieli, że teraz padnie jakieś doniosłe oświadczenie, pochodzące być może od nieobecnego Lenina.

— Na nas, towarzysze, leży największa odpowiedzialność historyczna — powiedział Swierdłow — od naszej organizacji, zjednoczenia i stanowczości zależy powodzenie rewolucji socjalistycznej. CK polecił ogłosić na zjeździe Rad przekazanie całej władzy Radom. Nasza frakcja powinna poprowadzić zjazd za sobą i wypełnić postanowienie CK.

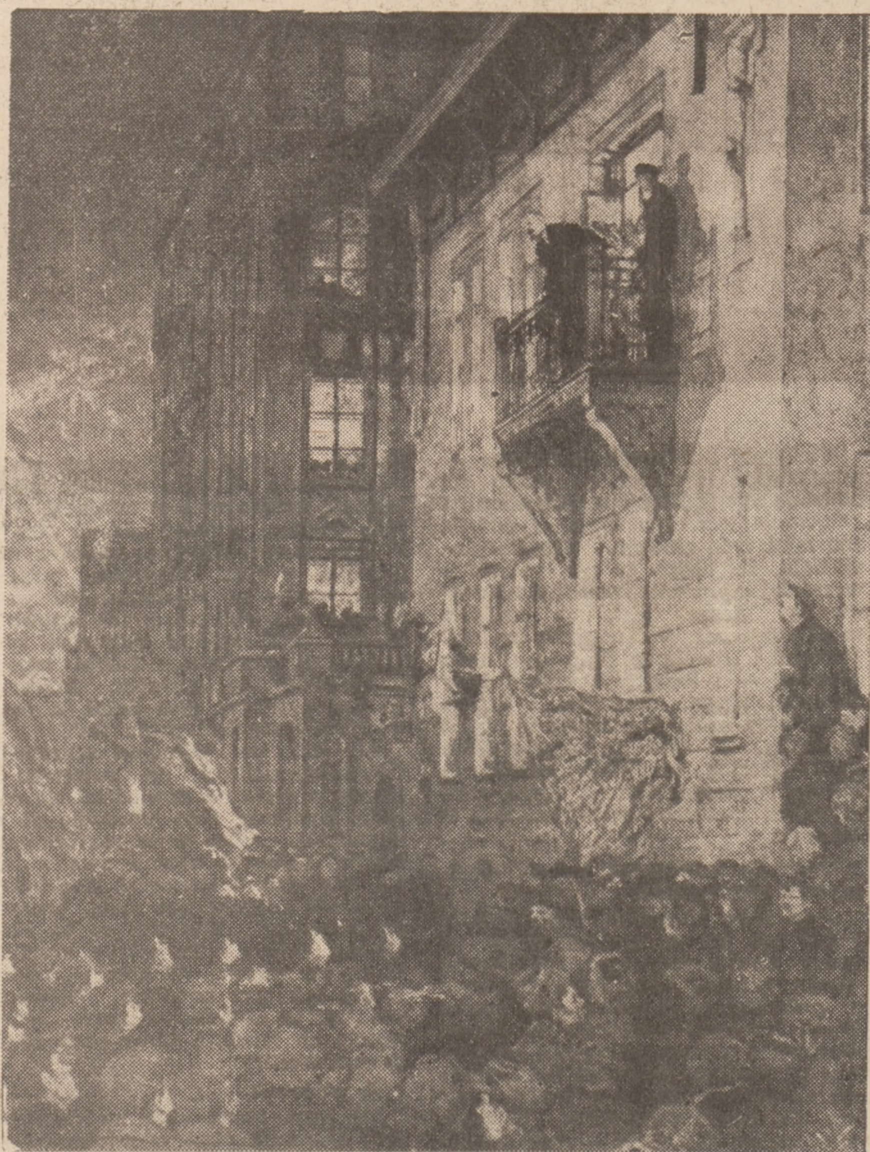
Następnie jeden z członków wojenno - rewolucyjnego komitetu wywołał kilka nazwisk i powiedział, że ci towarzysze muszą udać się natychmiast do oddziałów wojskowych w charakterze komisarzy Komitetu. Ja miałem udać się do szóstego batalionu saperów i przekazać rozkaz natychmiastowego zajęcia dworca Mikołajowskiego. Udałem się na ulicę Preobrażeńską i wydałem rozkaz. Komisarz batalionu — był on dowodzącym ze Smolnego — zaczął się gorączkować i tłumaczyć, że jego batalion to nie kompania karna, lecz ośmiotysięczny oddział wojskowy, jeden z najbardziej pewnych i zrewolucjonizowanych. Nie chciał się podporządkować i nastawał, aby jego batalion szturmował pałac Zimowy. Doszło do sprzeczki nie na żarty. Doszło do tego, że obaj złapaliśmy za rewolwery. W końcu udało mi się przekonać go, że niewypełnienie rozkazu w czasie walki jest przestępstwem. Wyjaśniłem komisarzowi, że dworzec Mikołajowski ma wyjątkowo ważne znaczenie strategiczne, gdyż znajduje się w centrum miasta w pobliżu Smolnego i jest niezbędny dla połączenia z Moskwą. Jeżeli dworzec zajmą kontrrewolucjoniści, powstanie zbrojne zostanie poważnie zagrożone. W miarę tego jak mówiłem, komisarz uspakajał się i w końcu zgodził się wydzielić część swego batalionu do ochrony dworca. Powróciłem do Smolnego.

Ledwie wszedłem do pokoju wojenno - rewolucyjnego komitetu i krótko zameldowałem o wypełnieniu zadania, otrzymałem nowe. Należało udać się natychmiast wraz z jednym towarzyszem znajdującym się tu, na „Aurorę" z pilną przesyłką. Pracownik wojenno - rewolucyjnego komitetu powiedział mu:

— Bierz motocykl — i marsz! Po drodze wyjaśnisz mu zadanie. Dowidzenia.

Wzięliśmy motocykl i wgramoliwszy się na niego udaliśmy się na miejsce, gdzie stała na kotwicy „Aurora". Po drodze mój współtowarzysz powiedział tylko cztery słowa: „Polecono wyprowadzić „Aurorę" na rejs.

Podjechaliśmy do „Aurory". Zaprowadzono nas na pokład, gdzie wyszedł nam na spotkanie przedstawiciel komitetu okrętowego. Oddaliśmy mu pakiet, otworzył go i przeczytał głośno:



Przemówienie Lenina z balkonu pałacu Krzesińskiej do tłumu zrewolucjonizowanych robotników, żołnierzy i marynarzy.

(wg obrazu Morawowa)

— „Wszystkimi znajdującymi się w wąszej mocy środkami wznówcie ruch na moście Mikołajowskim, podprowadźcie „Aurorę" bliżej Zimowego pałacu".

Przedstawiciel milcząc jeszcze raz przejrzał papier i zaproponowawszy pozostanie nam na pokładzie do wypełnienia polecenia, poprosił o wezwanie do siebie kapitana. Po chwili podszedł do niego niemłody oficer marynarki. Przedstawiciel pokazał mu rozkaz. Oficer, chmurząc się, czytał go powoli. Bezdźwięcznie poruszał wargami i zastanawiał się w naprężeniu. Przedstawiciel nie spuszczał z niego srogiego wzroku. W końcu spytał niecierpliwie:

— Co na to powiecie?

— Nie mogę poprowadzić okrętu w górę rzeki: nie jest tu dostatecznie głęboko i nie chcę ryzykować osadzenie go na mieliźnie.

— Nieprawda! Jest tu dostatecznie głęboko dla krążownika.

Kapitan nic nie odpowiedział, tylko ironicznie wzruszył ramionami. Przedstawiciel spytał ostro:

— Stanowczo odmawiacie?

— Tak, stanowczo.

Posłali po sierżanta Zacharowa. Przybiegł zgrabny, silny marynarz. Przedstawiciel komitetu okrętowego powiadomił go o rozkazie i przyjacielsko poprosił o radę. Sierżant rzuciwszy gromiące spojrzenie w stronę kapitana, stanął na baczność i powiedział:

— Ja poprowadzę krążownik. Obejdziemy się bez nich, bez panów oficerów. W tej chwili zrobię pomiary i poprowadzę.

Uśmiechnąwszy się z zadowoleniem przedstawiciel zgodził się na tę propozycję. Zwracając się do kapitana powiedział surowo:

— Was i wszystkich oficerów uważam za aresztowanych. Udajcie się do kajuty pod pokładem.

Sierżant Zacharow i dwóch marynarzy spuścili szalupę i rozpoczęli pomiary. Wkrótce powrócili i Zacharow zameldował, że głębokość jest dostateczna i że krążownik można śmiało wyprowadzać na rejs. Następnie sierżant wstąpił na mostek kapitański. Z komina „Aurory" podniosły się kłęby czarnego dymu, zadrgały maszyny, drgnął korpus krążownika. Kapitan, którego nie zdążyli jeszcze przeprowadzić z pokładu do aresztu, widząc, że „Aurora" jest gotowa by ruszyć z miejsca, podszedł do przedstawiciela i poprosił, aby ten pozwolił mu znów udać się na mostek kapitański. Przedstawiciel roześmiał się:

— Przecież wy się boicie, że tu zbyt płytko!

— Proszę o przebaczenie, omyliłem się. Pozwólcie prowadzić mi okręt, gdzie będziecie chcieli.

Po namyśle zgodził się, lecz uprzedził kapitana, że zdrada grozi mu karą śmierci. „Aurora" wyszła na środek Newy i skierowała się ku mostowi. Po trotuarach posuwały się w jednym kierunku piesze kolumny. Na lewym brzegu szli marynarze drugiej Bałtyckiej załogi morskiej, po prawym — marynarze koszar Deriabińskich. Junkrzy, zajmujący most Mikołajowski, stchórzywszy uciekali w kierunku Zimowego pałacu.

„Aurora" spuściła kotwicę. Marynarze zarzucili most i zwartymi szeregami skierowali się do Zimowego pałacu, twarzą w twarz do broniących go junkrów. Kierownicy sztabu operacyjnego wojenno - rewolucyjnego komitetu, mieszczącego się w twierdzy Petropawłowskiej, porozumieli się z komitetem okrętowym „Aurory" co do wspólnych działań. Ja i mój współtowarzysz nie mieliśmy nic do roboty na krążowniku, więc odwieziono nas na brzeg i udaliśmy się do Smolnego złożyć meldunek.

Nastąpił wieczór. Nasz motocykl gdzieś znikł. Wyszliśmy na Pole Marsowe. Tu spotkano nas w ciemnościach głośnym okrzykiem:

— Stój! Kto idzie?!

Stanęliśmy i odpowiedzieliśmy. Jednak patrol żądał dokumentów. Wydostawaliśmy je z kieszeni przeklinając opóźnienie. Żołnierze wyjaśnili:

— Po co przeklinacie? Mało się tu różnych diabłów pęta. Tu sam Kiereński uciekł niedawno. Teraz mamy polecenie każdego psa zatrzymywać, a co dopiero człowieka.

Rzuciliśmy się do żołnierzy.

— Jakto uciekł? Co za głupie żarty! Nie może być!

---

*) „Wielkie Dni" — urywek ze wspomnień starego bolszewika A. G. Sołowiewa — jednego z szeregowych uczestników Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej.

Część tych wspomnień poświęcona jest wydarzeniom 24 — 25 października 1917 roku w Piotrogrodzie. Jest to żywe świadectwo współczesne z niezapomnianych dla narodu radzieckiego dni.

(Dokończenie na str. [illegible])

KONSTANTY SIMONOW

KWESTIA ROSYJSKA

PRZEŁOŻYŁ ALEKSANDER BALIŃSKI

AKT III. — ODSŁONA V.

Dekoracja jak w odsłonie I. — Gainet Makfersona. Noc. Upłynęło półtora do dwóch godzin od czasu akcji, rozgrywającej się w odsłonie poprzedniej.

Guld (w drzwiach, przepuszcza przed siebie Smitha): Proszę cię (zatrzymuje się w drzwiach i rozmawia z kimś z sąsiedniego pokoju, prawdopodobnie z sekretarką). A kiedy wróci?

Głos kobiecy. Nie mówił. Powiedział tylko, żeby Pan poczekał w gabinecie.

Guld: Dobrze. No to poczekamy. (Zamyka drzwi i siada). Sądząc po głosie. Makferson po prostu szalał. A poza tym nie ma on zwyczaju w normalnym stanie rzucać słuchawki w środku zdania.

Smith (kpiąco): Ho ho, panie redaktorze „San Francosco Herald", widzę, że z przyzwyczajenia wciąż jeszcze drżysz przed szefem.

Guld: Tak, ale tylko w sześćdziesięciu procentach.

Smith: Dlaczego w sześćdziesięciu?

Guld: Ponieważ ma jeszcze 60 proc. udziału w mojej gazecie. Trzyma stary kundel i za nic nie chce ich sprzedać. A próbowałem już chyba ze trzy razy wykupić je podstępem. (Po chwili milczenia). Ale o co może tu chodzić? Dlaczego się tak wścieka? Może się coś zmieniło i nagle potrzebna mu jest książka o wręcz przeciwnej treści niż twoja?

Smith: Zdaje mi się, że jesteś bliski prawdy.

Guld: Tak sądzisz? Cóż więc się zdarzyło na świecie? Kiedyśmy jechali od ciebie, przewertowałem w pamięci wszystkie depesze zagraniczne, ale niczego nie mogłem znaleźć. Po prostu niczego. Dlaczego milczysz? Co ty o tym myślisz? Przecież to i twoja sprawa, do stu diabłów.

Smith: Tak masz rację. To sprawa i moja. I może nawet znacznie bardziej moja, niż twoja. Nie denerwuj się przyjacielu! W polityce światowej nie ma żadnych zmian. Sprawa leży raczej w okolicznościach nieporównanie mniejszej wagi. Po prostu napisałem uczciwą książkę o Rosji i na pytanie „Czy Rosjanie chcą wojny" odpowiedziałem — nie!

Guld: Tak? To świetnie!

Smith: Tego nie wiem. Ty chyba wiesz lepiej.

Guld (nieoczekiwanie): Ależ nie to niemożliwe, on nie zdążył jeszcze przeczytać książki.

Smith: Wystarczyło przeczytać jeden tylko rozdział.

Guld: Zostaw! Nie udawaj wariata. Kpisz sobie ze mnie czy co?

Smith: Nie, teraz nie kpię, natomiast kpiłem z siebie w ciągu całego miesiąca. Ale teraz to już nie.

Guld: Co, ty poważnie mówisz?

Smith: Od pięciu minut mówię już z tobą zupełnie poważnie. Chodź zejdziemy na chwilę do baru. Przed wielką awanturą zawsze dobrze coś wypić.

Guld: Wypić? Ty zdajesz sobie sprawę z tego coś ty zrobił? Czym ci to grozi? I mnie też!

Smith: Oczywiście. I dlatego właśnie proponuję ci, abyś wypił ze mną... we dwójkę. I na mój rachunek! (wyciąga z kieszeni pieniądze). Mam jeszcze całych 7 dolarów. Chodźmy!

Guld: A idźże do stu diabłów!

Smith: Masz wiele racji. Rzeczywiście potwornie zawiodłem ciebie, ale i tyś nieco pośpieszył się z tą przedwczesną reklamą. To był jeden z twoich najbardziej fantastycznych i nieudanych pomysłów. W ogóle — przepraszam cię za te nieoczekiwane przykrości i proponuję wypić, dopóki mam jeszcze pieniądze.

Guld: Przykrości? Moje przykrości — to kropla w morzu twoich. Pomyśl lepiej o swoich, póki jeszcze nie za późno.

Smith: Już późno.

Guld: Nie, nie wiem wprawdzie coś tym napisał, ale wiem, że w ciągu 10 dni można przebicować książkę jak rękawiczkę. Namówię szefa żeby się zgodził na to.

Smith: On się da namówić, ale ja — nie.

Guld: Nie bądź idiotą. Mówię ci to jak przyjaciel.

Smith: Nie. Mówisz jak człowiek, który przez całe swoje życie z powodzeniem handlował dobrymi radami. Ratujesz swoją reputację. Doradziłeś szefowi, ażeby zrobił ze mnie szubrawca i chcesz abym się nim koniecznie stał, choćby z 10-dniowym spóźnieniem. A ja nim nie będę. Wy z Makfersonem chcecie uchodzić za wrogów Rosji, ale to tylko ćwierć prawdy.

Guld: A trzy ćwierci?

Smith: Trzy ćwierci to to, że jesteście wrogami Ameryki. Chcecie zmusić 10 milionów Amerykanów, żeby znowu włożyli mundury wojskowe. A tym, którzy sprzeciwiają się wam chcecie założyć jak psu kaganiec. Ale to się nie uda.

Guld (ozięble): Po pierwsze — od dnia jutrzejszego będziesz żebrakiem.

Smith: Możliwe.

Guld: Powtóre — wcześniej lub później — porzuci cię Dżessi.

Smith: I to możliwe, ale nie warto mi o tym z tobą mówić.

Guld: Owszem, warto.

Smith: Nie, nie warto.

Guld: Mówię ci to jak przyjaciel twój i Dżessi.

Smith: Milcz i ani słowa więcej o przyjaźni. Wiem o wszystkim co było między wami w Australii. I ani słowa o Dżessi!

Guld: Dżessi opowiedziała ci o tym?

Smith: Nie, wiem o tym nie od niej.

Guld: A ona — czy ona wie, że ty...

Smith: Oczywiście nie wie. Kiedy kobieta ma ciemną plamę w swym życiu — (wskazując ręką Gulda z jawną drwiną) a szczególnie taką — przyzwoity człowiek nigdy nie przypomina jej o tym (p a u z a) nie zbliżaj się do mnie, bo to może nie skończyć się na słowach. Mógłbym cię zabić jak psa! Usiądź lepiej. I ja też usiądę.

(Obaj siadają).

Mówiąc prawdę, nie cierpię cię już od bardzo dawna, Dżek Guld. Jeszcze z czasów wspólnej szkolnej ławy. Nie znoszę cię dlatego, że takim jak ty jesteś łatwiej niż mnie żyć w naszym kraju, który przecież kocham jak swą ojczyznę, chociaż jesteście w nicj wy i podobni do was. Nie mogę cię znieść za to, że kpisz sobie z uczciwości, za to, że ja, będąc od ciebie dziesięć razy zdolniejszy, jestem sto razy biedniejszy. Nie cierpię cię za to, że moja żona była kiedyś twoją kochanką, ale nie dlatego, że kochała ciebie, lecz dlatego, że ty zawsze potrafisz we właściwym czasie kupić tanio dom, którego właściciel umarł, lub omotać kobietę, która jest samotna. Nie cierpię cię za to, że dla ciebie podłość to naturalny stan człowieka. A jeszcze więcej za to, że omal nie udało ci się i mnie o tym przekonać. Nie zakłamujmy się więcej o przyjaźni, Dżek Guld. Jesteśmy ludźmi biegunowo różniącymi się, a — jeśli wolisz — należymy do dwóch różnych Ameryk. (Wstając). Pójdę napić się sam. Prawdę mówiąc — nie mam nawet najmniejszej ochoty stawiać ci za ostatnie pieniądze, jakie jeszcze posiadam. (Wychodzi).

(Guld pozostaje sam, w stanie nieprzemijającego osłupienia, chwilę siedzi w fotelu, po czym pogwizdując, robi w zamyśleniu kilka kroków po pokoju. Szybko wchodzi Makferson).

Makferson: Dzień dobry! Gdzie Smith?

Guld: Zeszedł na dół do baru wypić przed rozmową z panem (Makferson naciska guzik, we drzwiach zjawia się sekretarka).

Makferson: Niech pani zawoła do mnie Smitha. Jest na dole, w barze. (Sekretarka wychodzi).

Guld: No i co?

Makferson: Pan już wie?

Guld: Tak. Powiedział mi.

Makferson: I pan oczekuje wymówek z mojej strony.

Guld: Tak.

Makferson: Naprożno. Człowiek, który słucha rady idioty jest po dwakroć idiotą i nie może mieć pretensji do nikogo, prócz siebie samego.

Guld: Dziękuję.

Makferson: Nie ma za co. Jutro rano przeleje pan na moje konto te 30.000 dolarów, które wydałem na reklamę na pańskie ryzyko i więcej nie będziemy powracać do tej sprawy. Wezwałem pana nie po to, żeby robić panu wymówki. Poczyniłem już wszystko, ażeby Smith nie miał innego wyjścia, prócz jednego: siąść i przerobić książkę. A jeśli — co wydaje mi się mało prawdopodobne — jeśli odmówi — musimy mieć przed wyborami do Kongresu inną książkę.

Guld: Pan chce, żebym ja...

Makferson: Nie. Pan za słabo pisze. Na Florydzie odpoczywa po podróży do Europy Denis Mitczel. Był już dwa razy w Rosji i niczego prawie nie pisał o tych podróżach. Mógłby siąść i w ciągu dwóch tygodni napisać to samo czego chcieliśmy od Smitha.

Guld: Ale Denis Mitczel — znam go dobrze — to także facet w rodzaju Smitha.

Makferson: O to właśnie chodzi. Dlatego też on mi jest potrzebny.

Guld: Ale...

Makferson: Co ale? Może się opierać? To już pańska rola. Niech pan idzie do domu i przygotuje się do wyjazdu. Zamówiłem już bilet. Zatelefonuję do pana po rozmowie ze Smithem, czy ma pan lecieć czy nie. Muszę przecież mieć tę książkę o Rosji, Dżek. Uderzymy nią całą naszą lewicę od „Daily Worker" do „Chicago Sun". Całą! Nie trzeba się łudzić — oni są dużo silniejsi niż nam się wydaje. Trzeba ich bić, bić teraz, póki jeszcze nie za późno. We Francji także nie było kiedyś ani jednego komunisty w parlamencie... (naciska dzwonek). (Wchodzi sekretarka). Gdzie Smith?

Sekretarka: Powiedział, że przyjdzie jak dopije whisky.

Makferson: Dobrze. Poczekam. (Sekretarka wychodzi). A jak pańskie sprawy w San Francisco. Zdaje mi się, że pan tam leciał?

Guld: Owszem. Dziękuję. Nieźle. (p a u z a). Kiedy jechałem do pana — spodziewałem się, że będzie pan bardziej rozjuszony. A tymczasem zachowuje się pan niemal dobrodusznie.

Makferson: Ochłonąłem już. A więc w San Francisco — powiada pan — powodzi się panu nieźle. A propos... wczoraj Griffit proponował mi abym mu sprzedał część akcyj pańskiej gazety. Co pan na to? Podoba się panu ten nowy akcjonariusz?

Guld: Coby tu panu na to odpowiedzieć? (p a u z a) uważnie przygląda się Makrfersonowi). Griffit? No nie! Raczej nie radzę panu. Niech pan lepiej zatrzyma te akcje.

Makferson (roześmiawszy się): Brawo Dżek! Pan jest nieglupi. Niech pan nie traci nadziei. Jeszcze będzie pan siedział na tym fotelu (wskazując na swój fotel za biurkiem). Po mojej śmierci oczywiście. No i jeżeli pan mnie przeżyje, co wydaje mi się zresztą mało prawdopodobne. W każdym razie jest pan mądrzejszy niż przypuszczałem. Z największym wysiłkiem, napręzając wszystkie włókna mego starczego mózgu domyśliłem się w końcu, że Griffit zamierza wykupić te akcje dla pana. A pan — nie frajer — domyślił się, że ja się domyśliłem. Jesteśmy kwita. No niech pan już idzie, bo jest późno. Gdyby miał pan lecieć to samolot o 6 rano. Bilet dla pana ma Miss Brodge. Zresztą zatefefonuję jeszcze do pana.

Guld: Do widzenia (wychodzi, we drzwiach spotyka się ze Smithem).

Makferson (Spojrzawszy na zegarek): Jak się pan ma, Harry, proszę: (Wskazując ręką fotel).

Smith: Dziękuję (siada w fotelu za stołem).

Makferson: Przeczytałem cztery rozdziały pańskiej książki. Cztery z...

Smith: Dziesięciu.

Makferson: Przyznam się, że przeczytałem je z ogromnym zainteresowaniem. Przepadam za oryginalnością... w literaturze. Ale niestety nie w polityce.

Smith: Dlaczego? Mnie wydawało się ostatnio, że pan właśnie lubi oryginalność w polityce.

Makferson: Owszem. Wtedy, kiedy pochodzi ona ode mnie, ale nie wtedy, gdy mnie zaskakuje. Widać nie zauważył pan tej drobnej, choć istotnej różnicy i w tym tkwi źródło pańskiej omyłki.

Smith: Nie uważam za omyłkę tego co napisałem. To są moje poglądy.

Makferson: Niewątpliwie. Ale mnie nic a nic nie interesują nigdy poglądy moich współpracowników. Niech myślą sobie co chcą. Mnie interesuje tylko to, co oni piszą. Nie chcę więc wcale wtrącać się do pańskich spraw osobistych i wchodzić w to, co pan myśli. Nie chcę też przekonywać pana o słuszności moich poglądów. Nie jestem już młodzieńcem i zbyt mało czasu zostało mi na to, by przekonywać każdego z oddzielna. Robię to co rano wobec milionów czytelników moich gazet. Niech je pan także uważnie czyta To jest jedyne, co mogę panu doradzić. A teraz chcę spokojnie powiedzieć panu po prostu kilka słów na temat pańskiej książki. Otóż książka, którą napisał pan nie dogadza mi i nie mogę jej w tym stanie wydać. Zgadza się pan ze mną?

KONSTANTY SIMONOW I JEGO SZTUKA

„Kwestia rosyjska" — to sztuka, która pasjonuje publiczność nie tylko Związku Radzieckiego, ale która weszła już na ekrany europejskie. Wystawiana jest ostatnio w Berlinie i w Londynie i weszła także na sceny polskie.

Autor jej — Konstanty Simonow — ma dziś 32 lata. Jako młody człowiek był robotnikiem w fabryce, a następnie studiował literaturę. W okresie wojny stał się jednym z czołowych piewców bohaterstwa żołnierza Czerwonej Armii, biorąc sam udział w najbardziej decydujących bitwach. Jest czterokrotnym laureatem nagrody Stalina.

Akcja sztuki toczy się w New Yorku zimą i latem 1946 roku. Makferson, właściciel i redaktor wielkiego dziennika nowojorskiego za namową jednego ze swoich współpracowników. Gulda — powierza Smithowi napisanie książki o Rosji. Ma to być już druga jego książka na ten sam temat. Smith był w Rosji w okresie wojny i napisał szczerą i prawdziwą książkę o ludziach Związku Radzieckiego. Ale dziś chodzi o coś innego. O to, ażeby Smith, znany ze swego przychylnego stosunku do Z.S.R.R., dał relację negatywną. Takie bowiem są aktualne wymagania polityczne. Cena: 30.000 dolarów.

Smith wyjeżdża do Rosji, ale po powrocie pisze inną książkę, niż od niego wymagano. Pisze prawdę i to staje się przyczyną jego upadku. Jest potępiony jako dziennikarz, a jego młoda żona Dżessi...

Ale o tym już w trzecim akcie sztuki, który drukujemy.

Smith: Tak.

Makferson: Otrzymał pan ode mnie zaliczkę w wysokości 7 i pół tysiąca dolarów, ale ponieważ treść książki nie była w umowie określona — trudno mi dochodzić zwrotu tej sumy na drodze sądowej. Wprawdzie pan mnie oszukał, ale to jest zagadanienie moralne, a my lepiej nie mówmy w tej płaszczyźnie. A więc jeśli nie wydam pańskiej książki, to stracę 7.500 dolarów zaliczki, 30.000 dolarów wydanych na reklamę i 100.000 — nie będę przecież tego ukrywał przed panem — zarobku, na który miałem prawo liczyć. To jest razem 137 i pół tysiąca dolarów. Ale to jeszcze nie wszystko. Książka pańska miała przynieść określony efekt polityczny, a efekt polityczny także oblicza się w ostateczności na dolary. Gdyby tak nie było — nie zajmowałbym się gazetami, a po prostu fabrykowałbym na przykład szelki. A więc jeszcze ze 100 tysięcy. Ale i to jeszcze nie wszystko. Skandal. skandal jakim jest niewydanie rozreklamowanej już przeze mnie książki też stanowi stratę dającą się określić pewną kwotą dolarów. Zachwianie mojej reputacji, zaniechanie kampanii przeciwko prasie lewicowej... Wszystko to razem można okrągło określić — powiedzmy — na 300 tysięcy dolarów. Przypuszczam, że suma ta jest bliska strat jakie poniósłbym, gdyby książka pańska miała się nie ukazać. Jak pan widzi — stawiam sprawę jasno. Nieprawda?

Smith: Słucham pana dalej, słucham.

Makferson: — Być może, że biorąc ode mnie 7 i pół tysiąca dolarów zaliczki i pisząc książkę zupełnie inną niż ta, którą mi pan przyrzekł, przypuszczał pan, że będę dochodzić na panu swoich strat w wysokości tych 7 i pół tysięcy. To gruba omyłka. Pan nie zrozumiał tej sprawy. Ja będę ścigał pana jak człowiek, który stracił przez pana 300 tysięcy dolarów. To znaczy bez litości. Po prostu zetrę pana z powierzchni ziemi. Rozumie mnie pan dobrze?

Smith: Rozumiem pana dobrze.

Makferson: A więc pomyślmy wspólnie jakbyśmy mogli tego uniknąć. I pan i ja. Domyślam się tylko co jest w dalszych rozdziałach pańskiej książki, bo przeczytałem dopiero 4. Sądzę, że na gruntowną przeróbkę ich potrzeba będzie panu czterech dni. To znaczy na całą książkę 10 dni.

Smith: Ja nie mogę przerobić swojej książki.

Makferson: Pomyślałem i o tym. To rzeczywiście prawda. Trudno natychmiast po skończeniu książki samemu ją przerabiać. Znalazłem już dla pana człowieka, który to zrobi. Pan będzie musiał dać mu tylko ogólne wskazówki co do pewnych zmian nazwisk, cyfr, dat itd. Oczywiście wynagrodzenie za jego pracę obciąży pana. To wyniesienie nie więcej niż dwa tysiące.

Smith: Przepraszam pana...

Makferson: To jeszcze nie wszystko. Nie uniknie pan i innych jeszcze strat. Za dziesięć dni spóźnienia druku także wypadnie panu zapłacić 3 tysiące dolarów. A więc dwa i trzy i te siedem i pół co pan dostał, no i pozostanie panu jeszcze dość pokaźna sumka 17 i pół tysiąca dolarów. Nie tak źle: (podaje Smithowi arkusz papieru). Proszę!

Smith: Co to jest?

Makferson: To pańskie zezwolenie na wniesienie do tekstu zmian, jakie uznam za konieczne. Już napisane. Wystarczy tylko podpisać.

Smith: Nie podpiszę tego.

Makferson: Niech się pan zastanowi jeszcze.

Smith: Już się zastanowiłem.

Makferson: To nic. Radzę jeszcze raz pomyśleć.

Smith (wstając): Nie!

Makferson: Dobrze! Uprzedziłem pana uczciwie o wszystkim, co nastąpi. Będzie panu kiepsko, bardzo kiepsko, gorzej jeszcze niż pan sobie wyobraża! Na pocieszenie to tylko mogę panu powiedzieć, że kiedy będzie już panu najgorzej, kiedy zewsząd przepędzą pana, kiedy nie będzie już miał pan co do gęby włożyć — może przyjść pan do mnie z powrotem do redakcji. A ja — słowo daję — znowu dam panu pracę. Oczywiście nie redaktora działu albo korespondenta. Reportera? Także nie! Wiem już — weźmę pana na reportera kroniki policyjnej. 10 godzin dziennie warowania w komisariacie policji za 25 dolarów tygodniowo. Dwa wiersze na miesiąc o pożarach i sześć o kradzieżach. I całe życie będzie stało przed panem otworem: Ale to nieźle! Ja także kiedyś od tego zaczynałem. Wprawdzie miałem wówczas lat 16. a pan — zdaje się — ma już 39. ale niech się pan nie zraża. Nigdy nie jest za późno zaczynać życie od nowa. Żegnam Harry! Życzę powodzenia!

Smith: Dowidzenia. (Odwraca się i dzie ku drzwiom).

Makferson (Woła za nim): A więc niech pan nie zapomina o mnie w czarnej godzinie. Ma pan u mnie posadę reportera policyjnego! (Smith odwraca się).

Makferson (Spotykając się wzrokiem ze Smithem. nagle zrywa się i waląc pięścią w biurko. krzyczy): Będzie pan jeszcze u mnie reporterem policyjnym! (Smith odwracając się. wychodzi. mocno trzasnąwszy drzwiami).

Makferson (spokojnie zdejmuje słuchawkę telefoniczną): Legsington — 2-75-46! Hallo! Guld? To ja. Niech się pan szykuje. Wypadnie panu jednak rano polecieć na Florydę.

K u r t y n a.

ODSŁONA SZOSTA.

Dekoracja jak w odsłonie drugiej Bar Następny dzień godzina 12 w południe. Smith w ciemnym garniturze Sam. na pierwszym planie siedzi w fotelu. tak samo jak w odsłonie drugiej Ten sam barman na drugim planie. Przechodzą postaci. Nic się nie zmieniło. Smith. milcząc pali papierosa. spogląda na zegarek. Od drzwi westibulu ku drzwiom restauracji idzie Preston. Dostrzega Smitha, odruchowo robi ruch w jego stronę, błyskawicznie powstrzymuje się i szybko kieruje ku drzwiom restauracji. Gdy jest już prawie we drzwiach — Smith odwraca się i dostrzega go.

Smith: Preston!

Preston: Dzień dobry Harry!

Smith: Napijesz się ze mną?

Preston (Niezdecydowanie): Bardzo chętnie, ale...

Smith: Ale ty się spieszysz bardzo? Zauważyłem. że wszyscy dzisiaj się jakoś bardzo śpieszą.

Preston (Podchodząc): No to ja będę wyjątkiem A dlaczego wydaje ci się, że dzisiaj wszyscy się śpieszą?

Smith: Nie wiem. Takie odniosłem wrażenie. A zresztą, może jestem przewrażliwiony. (do barmana) Dwie whisky!

Preston: Ty zapewne myślisz...

Smith: Na pewno obaj myślimy o jednem i tym samym. Przypuszczasz, że będę musiał przyzwyczaić się do tego, że wszyscy będą się śpieszyć?

Preston: Jakby ci to powiedzieć...

Smith: Jak powiedzieć? Szczerze!

Preston: Tak. Raczej wypadnie przyzwyczaić się do tego. O ile znam Makfersona sprawa twoja wygląda niedobrze...

Smith: Zobaczymy! (przynosi kieliszki).

Preston (biorąc kieliszek): A więc za twoje powodzenie! (pije). Ale muszę już pójść, bo rzeczywiście bardzo się śpieszę. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

Smith: Prawie. Pewnie nowa porcja pilnych depesz o Rosji. Wykrycie sowieckiej radiostacji w kraterze Wezuwiusza? Prawda?



„Kwestia rosyjska" w teatrze im. Leninowskiego Komsomołu w Moskwie. A. Polewin w roli dziennikarza Harry Smitha.

Preston: Kierujesz swoją ironię pod właściwym adresem, Harry. Ja za to nie dostaję, ani grosza więcej. I doprawdy Rosja nie będzie szczęśliwsza z tego powodu, że niejaki Denis Preston zostanie bezrobotnym! Do zobaczenia, Harry! Ja się rzeczywiście bardzo spieszę.

Smith: Dowidzenia! (Kilka chwil siedzi sam). (Szybko wchodzi Morfi).

Morfi: Nareszcie cię znalazłem!

Smith: Serwus Bob!

Morfi: Idioto! Jesteś przecież żonatym człowiekiem. Pocóż u licha przyprawiasz o obłęd swoją żonę?

Smith: Nie mogłem wrócić do domu tej nocy.

Morfi: Dlaczego?

Smith: Dlatego, że — (spogląda na zegarek) — zaraz powinienem spotkać się tu z Kesslerem. Po rozmowie z Makfersonem musiałem wcześniej pogadać z wydawcą. Muszę wiedzieć z czym wracać do domu.

Morfi: Niczego nie musisz wiedzieć. Wszystko jej już zamiast ciebie powiedziałem.

Smith: Powiedziałeś?

Morfi: Tak. Powiedziałem. I Meg także. Powiedzieliśmy jej wszystko. (milczenie).

Smith: A co ona na to?

Morfi: Ona? Powiedziała... „A"... I potem dodała „Bob, niech pan czym prędzej wyprowadzi wóz z garażu. Pojedziemy szukać tego idiotę!"

Smith: Jak ona to powiedziała?

Morfi: Idiotę? Dosyć czule. O tak (przedrzeźniając) „idiotę".

Smith: Gdzie ona jest?

Morfi: Teraz? Nie wiem Rozjechaliśmy się wszyscy troje. Dżessi, Meg i ja szukać cię w różnych możliwych miejscach Ale za pół godziny będzie tutaj Tuśmy się umówili.

Smith: Gdyby ona wiedziała jak nie bałbym się niczego. jeśliby pozostała przy mnie! Czy ona może to zrozumieć. Bob?

Morfi: Nie wiem Jak wszyscy pechowcy staram się zawsze być optymistą

Smith: Zaraz przyjdzie Kessler. Całą noc nie spałem. tak boję się tej rozmowy Ale co to on się spóźnia?

Morfi (wstając) Nie bój się Będzie dobrze! Dla niego najważniejsze są pieniądze, a pieniądze są tu murowane.

Smith: Nie odchodź Bob. Chcę z nim pogadać w twojej obecności. a jeżeli wszystko diabli wezmą — to przynajmniej napijemy się razem. Masz forsę, bo ja już jestem goły.

Morfi: Mam. Przed pięcioma minutami dostałem znowu część pieniędzy za mój lot.

Smith: Kiedy masz lecieć?

Morfi: W poniedziałek. ale jeszcze dziś wieczorem lecę do Missouri na próby. (P a u z a) O. masz Kesslera! (We drzwiach ukazuje się Kessler).

Smith: Dzień dobry panu! panie Kessler! Oczekuję pana

Kessler: Dzień dobry panu. Przepraszam za spóźnienie. Musiałem po drodze wstąpić w pewnej pilnej sprawie.

Smith: Panowie się znają?

Kessler: Znamy się (do Morfi'ego). Przed dziesięcioma laty wydałem pańską książkę. Zdaje się, że ostatnią, prawda?

Morfi: Tak. Ma pan rację. Zdaje się. że ostatnią.

Smith: Sądzę, że mister Morfi nie będzie nam przeszkadzał?

Kessler (obojętnie): Oczywiście nie. Słucham pana.

Smith: Podpisaliśmy z panem umowę o książkę. prawda?

Kessler: Tak. (Wyjmuje umowę i wkłada okulary). Za pośrednictwem Makfersona. On mi zagwarantował pokrycie ewentualnych strat, wziął na siebie koszty reklamy i ma otrzymać za to 5 proc. zysku.

Smith: Ale prawa wydawnicze ma całkowicie pan?

Kessler: Tak.

Smith: A więc chcę panu opowiedzieć...

Kessler: Nie potrzeba. Wiem już wszystko.

Smith: Wszystko?

Kessler: Wszystko. Wiem, że napisał pan książkę wprost przeciwną tej, jakiej oczekiwał od pana Makferson. To chciał mi pan powiedzieć, prawda?

Smith: Tak, ale jeślibym dał panu tę książkę. to pan mógłby ją wydać niezależnie od jej treści. Przecież o treści książki umowa nasza nie wspomina.

Kessler: Mógłbym.

Smith: I Makferson nie ma prawa panu przeszkadzać w tym.

Kessler: Pod względem prawnym — nie.

Morfi: Po tej reklamie, jaką zrobił książce — może się ona stać światową sensacją. Pan na niej zarobi nieoczekiwanych 100 tysięc dolarów! No nie?

Kessler: Sto tysięcy? Może być, że nie mniej.

Morfi (Z zapałem): A więc niech pan powie „tak", (wskazując na Smitha) on powie drugie tak i Makferson leci do stu diabłów.

Kessler: Niestety powiem n i e.

Morfi: Dlaczego u licha?

Smith: Poczekaj Bob!

Kessler: Niestety muszę odrzucić pańską propozycję.

Smith: Panie Kessler, czyżby panu. panu osobiście tak bardzo zależało na tym, ażeby napisane zostało o Rosji jeszcze jedno oszczerstwo? Przecież pan drukował przed czterema laty moją książkę o Rosji. Mogę pana zapewnić, że ta nowa nie jest ani trochę gorsza od tamtej.

Kessler: Wierzę panu, ale niestety muszę odmówić pańskiej propozycji.

Morfi: No to już jest po prostu świństwo.

Kessler: Wiedziałem z góry o czym będzie mowa i że nie doprowadzi ona do niczego, a jednak mimo wszystko przyszedłem tylko z szacunku dla pana Smitha i jego talentu.

Morfi: No dobrze. Przepraszam w takim razie.

Kessler: Wydałem już w swoim życiu nie jedną, lecz trzy pańskie książki i gdybym mógł — to wydałbym z największą chęcią i tę czwartą.

Morfi: A więc o co chodzi? Jest pan przecież człowiekiem interesu. Co pana może obchodzić treść książki?

Kessler (Kontynuując): I może z większą nawet jeszcze chęcią wydałbym tę książkę, którą pan napisał. aniżeli tę, która rozreklamował Makferson. Rodzice moi pochodzili z Mohylowa, panie Smith. Zapewne pan o tym nie wiedział. Mam jakiś głęboko ukryty sentyment do Rosji, ponieważ tam urodził się mój ojciec i moja matka. Jestem już przecież starym człowiekiem, a mimo wszystko odgrywa to jeszcze u mnie pewną rolę. W czasie wojny dałem 2.000 dolarów na podarki dla Rosji. Tak. I powtarzam — wydałbym teraz z największą radością pańską książkę, gdyby nie groziło mi to zbyt wielkimi stratami.

Morfi: Przecież sam się pan zgodził przed chwilą, że mogłaby ona panu przynieść o 100 tysięcy dolarów więcej, niż się pan spodziewał.

Kessler: To jest słuszne, ale straty moje byłyby znacznie większe. Jestem stary i ciężko chory. Mogę umrzeć każdego dnia, a nie chciałbym, ażeby odprowadzały mnie na tamten świat złe myśli ludzkie. Wytłumaczę to panu, ażeby pan nie miał o mnie fałszywego zdania. Ale niech mi tylko nie przerywa pański przyjaciel.

Morfi: Dobrze, będę cicho.

Kessler: Wczoraj o 10-tej wieczorem zatelefonował do mnie Makferson i powiedział: „Kessler, zaraz będę u pana"...

Morfi: O 10-tej Gulda posłał po ciebie, a sam...

Kessler (patrząc z wyrzutem na Morfi'ego): Przyjechał do mnie i niczego nie tłumacząc zaproponował mi, ażebym na korzystnych dla mnie warunkach odsprzedał mu swoje prawa do pańskiej książki Jestem już za starym wydawcą, żeby nie pomyśleć sobie właściwie dlaczego? Jeżeli liczy na straty — to nie próbowałby odkupić moich praw. A jeśli liczy na wielkie zyski — to ja przecież sam mogę zarobić. I stanowczo odmówiłem.

Morfi: Brawo!

Kessler (patrząc znowu z wyrzutem na Morfi'ego): Dziś rano znowu, już po pańskim telefonie, kiedyśmy się z panem umówili, powtórnie dzwonił Makferson i powiada: „Kessler, wczoraj ja byłem u pana, może dzisiaj pan do mnie przyjdzie? Pojechałem do niego. Siedział za biurkiem obłożony moimi wszystkimi reklamami i prospektami. „Panie Kessler — powiada — dziś lub jutro zwróci się do pana Smith". I w dwóch słowach opowiedział mi o wszystkim, co zaszło między

wami „Znowu chce pan mi zaproponować, żebym sprzedał swoje prawa"? pytam go. A on powiada „Nie". Dziś już nie chcę. Zapędziłem się wczoraj cokolwiek. Już nie zamierzam odkupić od pana praw, ale niech pana ręka boska broni przed wydaniem tej książki". „Dlaczego? — pytam". A on mi na to: „Dlatego, że poprzysiągłem sobie, że ta książka nie zobaczy światła dziennego". „A jeśli mimo to wydam?" — pytam go „Wtedy będzie z panem bardzo źle" — powiada. Potem wziął w ręce wszystkie moje katalogi i reklamy i powiedział: „Pan może zarobić na książce Smitha jeszcze o 100 tys. dolarów więcej. Tak?" „Tak" — powiadam. „Tak — mówi — ale sądząc po pańskich katalogach ma pan zamiar wydać jeszcze w tym roku 37 pozycji. Prawda? A więc na książce Smitha — mówi — zarobi pan o tych 100 tys. dolarów więcej, ale uprzedzam pana, że moich 38 gazet da o pańskich 37 książkach 38 najparszywszych recenzji, na jakie je tylko będzie stać. A pan na tych 37 swoich książkach straci co najmniej pięć razy tyle, ile zarobi pan na książce Smitha. Ja przecie pana zrujnuję. Zrujnuję nawet, gdybym musiał siebie samego po to zrujnować".

Smith: No?

Kessler: Co — no? Niech pan zaczeka. Muszę odsapnąć. Przeklęta astma. No i na pożegnanie uśmiechnął się najprzyjemniejszym ze swoich dwunastu uśmiechów, życząc mi dobrego zdrowia i najlepszego humoru. (p a u z a). To wszystko co miałem do powiedzenia panu. (r o z g l ą d a s i ę). Jeżeli panu nie sprawi trudności, niech pan podniesie mój kapelusz. Ciężko mi schylać się (Smith podnosi kapelusz, który upadł z fotela na podłogę i podaje go Kesslerowi). Dziękuję panu. Ja bardzo żałuję. (W s t a j e). Radziłbym panu pogodzić się jakoś z Makfersonem. Ale znam go już 42 lata i sądząc po jego dzisiejszym zachowaniu się, to może już być spóźnione. Dowidzenia panom.

Smith: Dowidzenia panie Kessler (Idzie za staruszkiem, machinalnie otwiera przed nim drzwi, powraca i siada). (Długie milczenie). No i co teraz?

Morfi (Wyciągając paczkę pieniędzy): Harry!

Smith: Co chcesz pić? Zbyt podle mi na duszy. Nie chce mi się nawet pić.

Morfi: Nie, weź to.

Smith: Ale skądże ty masz tyle pieniędzy?

Morfi: Przecież mówiłem ci, że dostałem znowu część pieniędzy za mój lot.

Smith: Nie chcę. Zabierz je.

Morfi: Nie bądź świnią! Tu jest 300 dolarów. Powinny wam wystarczyć na dwa tygodnie. Weź że je choćby w imię Dżessi. Żeby nie odczuła tego tak od razu. (Wsuwa mu pieniądze do kieszeni). Ona musi powoli przyzwyczaić się...

Smith: Do czego? Do nędzy? Nie powinna się była od niej odzwyczaić. A ja pozwoliłem jej na to. Jestem tchórz! Na cóż ja właściwie liczyłem? Dlaczego nie powiedziałem jej prawdy zaraz po powrocie? Chciałem odwlec tę chwilę. Jestem wobec niej skończona świnia! Bob, skończona świnia! (wsuwa rękę do kieszeni, smutnie uśmiechając się). Trzysta, co?

Morfi: Tak, trzysta.

Smith: Cały tydzień żyjemy już z jej pieniędzy. Ile myślisz mogło kosztować moje ubranie?

Morfi: Na zamówienie?

Smith: Tak.

Morfi: Ze dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Smith: I to także z tego tysiąca dolarów, który zaoszczędziła sobie w ciągu całej wojny. Słowo honoru, że to wszystko gorsze jest niż śmierć.

Morfi: Przestań. Nie waż się mówić w ten sposób. Wymyślimy coś jeszcze.

Smith: Co?

Morfi: Nie wiem, ale coś wymyślimy (p a u z a). Morfi pcha rękę do kieszeni i wyciąga pieniądze. Masz tu jeszcze 20 dolarów, żeby nie mieszać z tamtymi. Kiedy odliczę, kup za te pieniądze jakieś kwiaty i daj je od mnie Meg. Nie zapomnij tylko. Położę ci je do tej kieszeni (wsuwa mu pieniądze do górnej zewnętrznej kieszeni marynarki).

Smith: Dlaczego ja mam kupić? Kup jej sam. Zdążysz przecież jeszcze dzisiaj.

Morfi: Sam? Boję się jej! Wywali na mnie o takie oczy (pokazuje) i powie, że lepiej bym zrobił, gdybym dał te pieniądze na przykład na lewicę związkową. Lepiej już ty kup dla niej te kwiaty. Dobrze?

Smith: Dobrze. (We drzwiach ukazuje się Dżessi Rozgląda się po barze, dostrzega Smitha i Morfi'ego i prawie biegiem rzuca się ku nim) Dżessi! (bierze jej ręce i trzyma je, stojąc, ze spuszczoną głową).

Dżessi: Spójrz na mnie!

Smith: Nie mogę.

Dżessi: No spójrzże na mnie! (Smith podnosi głowę, Dżessi całuje go w oczy). Dlaczego tak smutnie patrzysz? Źle ze wszystkim? Tak?

Morfi: Cała kombinacja z Kesslerem rozleciała się.

Smith: Dżessi..

Dżessi (prawie surowo): Nie mów nic. Kocham cię i postaram się znaleźć w sobie dość sił, ażeby... ażeby wszystko ułożyło się jakoś Bob, niech pan zamówi coś do picia. Ale dla mnie z wodą sodową.

Morfi (do barmana): Trzy whisky z wodą sodową.

Meg (wchodząc): Cztery! (Podchodzi do pozostałych i siada). No i co słychać?

Morfi: Miss Stenli, z całego mego planu z Kesslerem nici. Teraz to już cała nadzieja w pani.

Med (Odważnie): Jakoś tam będzie (Morfi przynosi z baru whisky. Meg energicznie bierze kieliszek). Za nasze nieznane! (piją). Zdaje mi się, że to pański toast.

Morfi: Tak.

Meg: Za pańską książkę, Harry! Teraz, kiedy już jestem wolna od tajemnicy, mogę powiedzieć, że to dobra książka.

Smith: Niech pani o tym nie mówi, Meg.

Meg Dlaczego? Mam nadzieję, że teraz będziemy ją mogli przeczytać wszyscy Przestała być tajemnicą.

Smith: Gniewasz się na mnie?

Dżessi: Bardzo. Ale cieszę się przynajmniej, że jest ona ostatecznie choć dobrze napisana (Do Meg prawie że z histerią) Dobrze?

Meg: Dobrze.

Smith: Dżessi!

Dżessi: Co? Skończyła się idylla, Harry. Zaczyna się życie prawdziwe. I ja będę miewała niekiedy wybuchy złego humoru. Ale nie przejmuj się tym. Mam nadzieję, że dam sobie w końcu ze sobą radę.

Meg: Słuchajcie!

Smith: Co?

Meg: Mam pomysł! Za tydzień wraca z Europy nasz Williams.

Smith: No to co?

Meg: Przecież pan stawiał u niego swe pierwsze kroki! Zrobi pan ze swojej książki z dziesięć felietonów, a on wydrukuje je Wprawdzie w lewicowej gazecie niewiele panu zapłaci, ale lepsze to niż nic. Prawda?

Morfi (z zapałem): Oczywiście!

Meg: Co? I pan się tu wtrąca stary rozbójniku pióra! Pytam Harry'ego nie pana.

Smith: Jeżeli zaryzykuje.

Meg: Kto? Williams?

Smith: Tak. Zaczynam już wątpić we wszystko. Ale nie! Williams przecież chyba zaryzykuje! Tak. Oczywiście, (p a u z a) Dżessi!

Dżessi (Tkwiąc w zamyśleniu): Co, drogi?

Smith: Williams zaryzykuje. Słowo honoru!

Dżessi: Bardzo dobrze.



„Kwestia rosyjska" w teatrze im. Leninowskiego Komsomołu w Moskwie. I. Bersieniew w roli Makfersona.

Smith: Co dobrze? Czy słyszysz co mówię?

Dżessi: Tak.

Smith: Co — tak?

Dżessi: Tak — nie słucham.

Smith: Co ci jest Dżessi (potrząsa prawie jej ramionami) Dżessi!

Dżessi: Nic. Nic, mój drogi. Po prostu przypomniało mi się nagle jak byłam szczęśliwa jeszcze wczoraj o 10 wieczorem.

K u r t y n a.

ODSŁONA VII.

Dekoracja jak w odsłonie IV. — Dom Smitha. Upłynęło dziesięć dni. Gabinet Smitha ma teraz dziwny wygląd. Biurko rozebrane na części, które leżą w kącie, kanapa także rozebrana. Tył i materac kanapy przewiązane sznurami stoją oparte o ścianę. Na ścianach bez zmian 2 — 3 obrazki, dróżka Meksykańska wisi nad miejscem, z którego rozebrana już została kanapa. Biurkowa lampa, połączona drutem z kontaktem ściennym stoi wprost na podłodze. Wyciągnięty spod odbiornika stolik przewiązany sznurem stoi obok. Na swoich miejscach pozostały tylko 2 fotele i mały stolik na pierwszym planie i jakieś 2 — 3 krzesła oparte o ścianę w tyle. Drzwi do pokoju stołowego otwarte. Widać opustoszały pokój i przechodzących milcząco od czasu do czasu tragarzy, którzy wynoszą na ulicę różne rzeczy prawdopodobnie z piętra.

Smith w tym samym ciemnym garniturze siedzi na jednym z foteli. Na stoliku dwie szklanki i napoczęta butelka whisky. Milczenie. Z werandy wchodzi Dżessi z małym koszyczkiem w rękach.

Smith: Dokąd wychodziłaś?

Dżessi: Zbierałam poziomki w ogrodzie. Zebrałam 11 poziomek. Patrz jakie ładne.

Smith: Po co?

Dżessi: A bo ja wiem? (obojętnie wytrząsa koszyczek przez okno).

Smith: Dżessi, nie widziałaś gdzieś programu radiowego?

Dżessi: Nie. Zaraz poszukam (grzebie w plice gazet, książek i czasopism zwalonych na kupę pod ścianą). A po co ci?

Smith: Towarzystwo „Merkury" nadaje dziś rozmowę z Bobem z samolotu.

Dżessi (podaje mu czasopismo): Masz.

Smith (przerzuca kartki): Stacja Dabiu - Ejcz-Aj - Ef. (Włącza radio i dostraja je. Milczenie). Nic ma jeszcze niczego. (D ł u g a p a u z a). Zaraz powinien tu być Williams. Meg dzwoniła że już wyjechał.

Dżessi (obojętnie): Bardzo dobrze.

Smith: Jak sądzisz Dżessi, będzie coś z tego?

Dżessi: Nie wiem mój drogi. Już nic po prostu nie wiem (obejmuje go z tyłu i całuje w głowę).

Tragarz (Ukazując się w drzwiach do stołowego): Przepraszam. Mamy zabrać szafę z sypialnego, a tam coś jeszcze wisi.

Dżessi: Zaraz (raz jeszcze całuje Smitha w głowę i wychodzi).

Głos przez radio: Uwaga! Tu Towarzystwo „Merkury". Przed godziną wystartował samolot wyprodukowany w zakładach Czerison z silnikiem marki „Malkstrom" celem pobicia rekordu wysokości lotu w klasie sportowych maszyn z pasażerem. Na pokładzie samolotu znajduje się nasz korespondent Bob Morfi. Będziemy nadawali wywiad z nim w odstępach 15-minutowych.

Hallo Bob!

Daleki głos Morfi'ego — Witajcie!

— Jak wysoko jesteście?

— Zaraz. Nie mogę się zorientować na tym podłym liczniku. — Zdaje się, że 7.600 km. Nie! 8000!

— Założył już pan aparat tlenowy?

— Tak. Diabelnie chce mi się wypić, ale to zupełnie niemożliwe w tym aparacie.

— Co pan widzi przed sobą?

— Szczęśliwie tylko chmury.

— Dlaczego szczęśliwie?

— Dlatego, że 46 lat patrzę już na ziemię i mocno mi obrzydła.

— Dowidzenia Bob. Powrócimy do rozmowy znowu za kwadrans.

— Dowidzenia. Tu piekielnie zimno.

(Radio milknie. Smith silnie zdenerwowany nalewa do szklanki whisky. We drzwiach ukazuje się Meg, a za nim Williams).

Meg: Jak się pan ma, Harry, Sprowadziłam panu Williamsa.

Smith (wstając): Dzień dobry Meg, jak się pan miewa Fred, siadajcie, (robi machinalny ruch w stronę miejsca, gdzie stała kanapa, uprzytamnia sobie omyłkę i czym prędzej podsuwa fotel). A sobie wezmę krzesełko (mówi to, chodząc z krzesłem). Myślałem Fred, że przyjdzie pan wcześniej, kiedy wszystko jeszcze stało na swoich miejscach. Dopiero dzisiaj zaczęli wywozić meble. Proszę mi wybaczyć.

Williams: Raty?

Smith: Tak. Zaproponowali mi nawet prolongatę na miesiąc, ale powiedziałem, że nie pomoże mi prolongata nawet na rok.

Williams: A dom?

Smith: Dom — jutro. Dlatego tak pośpieszenie zabierają meble. Jutro będzie tu już nowy gospodarz (p a u z a). Szkoda Meg, że nie przyszła pani o chwilę wcześniej. Dopiero co Bob mówił z pokładu samolotu.

Meg: Wiem. Próbowałam złapać go jadąc tutaj, ale zapomniałam jaka stacja nadaje.

Smith: Dabiu - Ejcz - Aj - Ef.

Meg: Co on mówił?

Smith: To co zwykle. Że piekielnie zimno i diabelnie chciałby się napić (p a u z a). No cóż Fred, wypijemy na wspomnienie dawnych czasów, czy też od razu do rzeczy?

Williams: Niestety od razu do rzeczy. Wyskoczyłem po prostu na 10 minut pomiędzy dwiema konferencjami prasowymi.

Smith: Hm, cóż zrobić? (Do Meg, która nagle wstała). Dokąd pani idzie Meg?

Meg: Chcę zobaczyć Dżessi, a Williams bardzo się spieszy. Musi mnie z powrotem podrzucić do Nowego Jorku.

Smith: Ach, prawda! Nie mam już pani czym odwieźć. (Meg wychodzi).

Williams: No, ale po kieliszku whisky możemy przecież wypić. Prawda?

Smith: Oczywiście. Cieszę się, że jednak wypijemy (nalewa whisky, ale obaj nie podnoszą szklanek i nie piją). Zestarzał się pan, Fred, w ciągu tych sześciu lat.

Williams: I pan nie odmłodniał.

Smith: Tak, to prawda. Znamy się już z panem od 1928 roku.

Williams: Kiedy redakcja była jeszcze na Astor Pleys.

Smith: No tak... A więc do rzeczy. Pan na pewno zna tę historię z moją książką.

Williams: Znam.

Smith: W ciągu najbliższych dwóch lat prawa do książki ma formalnie Kessler, a faktycznie Makferson, a przez ten czas książka musi stracić na aktualności. To jest reportaż. Rozumie pan?

Williams: Rozumiem. Co pan mi proponuje wobec tego?

Smith: Wybiorę z książki — powiedzmy — dziesięć kawałków i zrobię z nich felietony dla pańskiej gazety. Treść będzie ta sama, ale forma inna i Makferson nie będzie miał prawa czepiać się.

Williams: Tak...

Smith: No i to właściwie wszytko. Mogę pana tylko jeszcze zapewnić, że jak je pan wydrukuje w swojej gazecie, będą się cieszyć wielkim powodzeniem u pańskich czytelników. Jestem tego zupełnie pewny.

Williams: Ja także, ale...

Smith: Co?

Williams: No dobrze. Pomówmy zupełnie otwarcie. Niech mi pan powie, czy pan czytywał moją gazetę w ciągu ostatnich paru miesięcy?

Smith: Rzadko. Ja ostanio w ogóle niczego prawie nie czytam.

Williams: A słyszał pan o tej nagonce, którą rozpoczęto na mnie przed dwoma miesiącami?

Smith: Coś nie coś. O jakichś pieniądzach z Moskwy i innych głupstwach.

Williams: Tak, te głupstwa kosztowały mnie zmniejszenie nakładu o 20 tysięcy. Wszystko to zaczęło się jak na rozkaz. Pewnego pięknego dnia, od razu w dziesięciu różnych gazetach. Do tego przyłożył rękę i Hearst i Mak-Kornick i pański Makferson — słowem wszyscy. W ciągu trzech dni okazałem się komunistą, złym Amerykaninem i płatnym agentem Moskwy, wydającym gazetę za rosyjskie pieniądze. Przyczyną tego był cykl moich własnych korespondencji z Europy o demokracji ludowej w Jugosławii i w Bułgarii. Po prostu zwykłych, uczciwych i obiektywnych artykułów. Ale okazało się, że tego najzupełniej już wystarczy dla tego wszystkiego co potem nastąpiło.

Smith: Oni wściekli się po prostu.

Williams: Znalazłem się na skraju przepaści. Nie zmieniłem swoich sympatii, ale jestem zmuszony do wstrzemięźliwości we wszystkim, co dotyczy Rosji lub Bałkanów. Chociaż i to nawet nie zmniejszyło furii ich wszystkich a zwłaszcza Makfersona.

Smith: Czyli mówiąc po prostu pan z lekka wycofuje się. Czyżby to była najlepsza taktyka?

Williams: Może nie najlepsza, ale tymczasem jedyna możliwa.

Smith: Czyżby jedyna?

Williams: Zdaje mi się, że pan próbował znaleźć inną. No i...?

Smith: Nie mam przecież własnej gazety.

Williams: No oczywiście. Bo gdyby ją pan miał, to by ją pan stracił jak dwa razy dwa cztery (nagle surowa). A idźże pan do diabła Harry, przecież to — walka. Bezlitosna walka. A na wojnie, jak na wojnie — trzeba czasami cofać się, mieć cierpliwość, wyczekiwać.

Smith: A może pan jednak wspomni naszą wspólną młodość, Fred, i zaryzykuje (z tyłu podchodzi do Smitha tragarz, chce wziąć krzesło, na którym siedzi i zdradza zakłopotanie. Smith odwraca się i szybko wstaje, aby zwolnić krzesło. Williams milcząco przygląda się tej scenie).

Williams (po pauzie): Nie, nie zaryzykuję. W innym czasie — owszem, ale obecnie nie.

Smith (nie siadając): Jak pan chce. Właściwie nie mamy o czym więcej mówić. Może wypijmy za naszą starość. To zdradliwa bestia, za nim się obejrzysz już jest przy tobie! Pijemy?

Williams (wstając): Nie, nie będę pił pod ten toast. Nie zamierzam zrywać z naszą młodością.

Smith: Kto wie?

Williams: No dobrze. W takim razie opowiem panu wszystko. Przed trzema dniami spotkał mnie w klubie Guld. Poprosił na stronę i w swój zwykły cyniczny sposób mówi mi w imieniu Makfersona: „Podobno Smith chce drukować artykuły w pańskiej gazecie. To wprawdzie pańska sprawa, ale chciałbym pana uprzedzić, że jeśli to się zdarzy, to cośmy dotąd pisali o pańskich kontaktach z Moskwą okaże się tylko dziecinną igraszką. Urządzimy panu jeszcze proces sądowy i znajdziemy dziesięciu świadków, którzy za prawdziwe dolary amerykańskie, na własne oczy widzieli jak pan otrzymywał mityczne ruble rosyjskie.

Smith: I nie dał mu pan za to w mordę?

Williams: Nie. Niestety! W obecnej sytuacji zmuszony byłem przyjąć to tylko do wiadomości.

Smith: To nic. Niech pan nie żałuje. Przy pierwszej okazji sam mu dam po mordzie. I on to będzie musiał przyjąć do wiadomości.

Williams: Pan może sobie na to pozwolić. Nie ma pan nic do stracenia.

Smith: A pan?

Williams: Ja mógłbym stracić gazetę.

Smith: Pan już ją stracił.

Williams: Nieprawda! Ja ją zachowałem. Tym draniom nie udało się do dnia dzisiejszego zmusić mnie do wydrukowania ani jednego oszczerstwa na Rosję i ani jednego słowa o przyszłej wojnie. Nie zmusili mnie i nadal nie zmuszą, ale to jest granica mojego oporu. Przynajmniej tymczasem. Mamy teraz ciężki okres Harry. Niech się pan uzbroi w cierpliwość.

Smith: A cóż mam robić? Nic innego mi nie pozostaje... Niech mi pan nie ma za złe Fred, tego co panu mówiłem. Rozumiem pana, ale nie jest mi przez to ani trochę lżej (we drzwiach stołowego ukazuje się Meg, a za nią Dżessi).

Meg: No, porozumieliście się już?

Smith: Porozumieliśmy się.

Meg: Jak? Niech pan powie.

Smith: Fred opowie pani po drodze. On się bardzo spieszy na konferencję prasową (ocknąwszy się). Ach przepraszam Cię, Dżessi. To mister Fred Williams (przedstawia). — Moja żona.

Dżessi (Witając się): Pan nam wybaczy (uśmiecha się wymuszenie) u nas dziś taki nieporządek.

Williams: No, dowidzenia.

Smith: Dowidzenia, Fred. (Williams i Dżessi wymieniają ukłony). Meg niech pani nie zapomni po drodze słuchać co będzie mówił Bob).

Meg: Pamiętam. Jestem bardzo rada, że się pan porozumiał z Williamsem.

Smith: Ja także. Ale Meg, niech pani poczeka chwilę. Miałem dla pani jakieś polecenie od Boba, ale zupełnie zapomniałem jakie...

Meg: Co?

Smith: Nie mogę sobie właśnie przypomnieć. No dobrze. Może potem. Do jutra przypomnę sobie.

Meg (Całuje Dżessi i mówi szeptem): A mówiłam pani, że będzie dobrze. A więc do jutra Harry (wychodzi). (Za nią wychodzi Williams. Długie milczenie. Dżessi uważnie przypatruje się Smithowi).

Dżessi: Znowu nic nie wyszło, prawda?

Smith: Aha.

Dżessi: Nie wiem dlaczego, z góry tak przypuszczałam.

(Z mikrofonu odzywa się głos, który wstrząsa obojgiem): — Uwaga, uwaga! Znowu nawiązujemy rozmowę z naszym korespondentem Bobem Morfi.

Dżessi (bierze papierosa): Dziękuję.

Smith: Porozmawiamy chwilę.

Dżessi: Dobrze. (Siadają w fotelach na przeciw siebie).

Smith: To dobrze, że dzisiaj.

Dżessi: Dlaczego?

Smith: Wszystko od razu (po pauzie). Oczekiwałem tego, wiedziałem, że tak będzie.

Dżessi: Ja nie oszukiwałam cię wówczas, przed dziesięciomа dniami. Doprawdy myślałam, że znajdę w sobie dość siły aby pozostać przy tobie.

Smith: I nie znalazłaś?

Dżessi: Nie znalazłam.

Smith: Masz rację. To ja ciebie oszukałem.

Dżessi: Nie mów ze mną w ten sposób jak gdybym ciebie nie kochała. Kocham cię i ten raptowny wyjazd to też dlatego, że cię kocham. Natychmiast. Tylko natychmiast. Bez zastanowienia! Inaczej nie miałabym siły. Postanowiłam odejść już trzeciego dnia. Wiesz kiedy?

Smith: Tak. Rano gdyśmy siedzieli przy stole. Prawda?

Dżessi: Tak. Uniosłam się podczas rozmowy o pieniądzach i nagle powstrzymałam się. W tym momencie zrozumiałam, że muszę odejść od ciebie. Póki jeszcze nie za późno. Błagam cię, wybacz mi, że się wtedy uniosłam.

Smith: To się zdarzyło tylko jeden raz...

Dżessi: Nie chcę! Nie chcę ani razu! A jeżeli zostanę to się powtórzy. Powtórzy się każdego dnia. Dlaczego nic nie mówisz?

Smith: A cóż ci mam powiedzieć?

— Na jakiej wysokości jesteście teraz, Bob?

— 10.300. Mocno trzęsie.

— A jak pracuje silnik marki Malkestrom?

— Widać dobrze, skoro się jeszcze trzymamy.

— Pan zdaje się — w dobrym humorze.

— Tak. Ziemi — jak poprzednio nie wiedzę — i gdyby mi jeszcze nie przeszkadzał pański głos, to myślałbym, że jestem wreszcie obok Pana Boga.

— Za 15 minut znowu panu przeszkodzimy, Bob.

— A niech was tam!

Smith (po milczeniu): Czyżby do biednej Meg uśmiechnęło się szczęście?

Dżessi: A Bob?

Smith: Według mnie, ten stary rozbójnik pióra nagle zmiękł trochę.

Dżessi: Cóż! Daj im Boże szczęście! (Długie milczenie). Tragarze w ciągu całej dalszej akcji stopniowo opróżniają gabinet. Sygnał samochodu. We drzwiach ukazuje się szofer taksówki).

Szofer (do Smitha): Dzień dobry. Pan wzywał taksówkę z New Yorku?

Smith: Taksówkę? Nie. Ja nie wzywałem żadnej taksówki.

Dżessi: Ja wzywałam (do szofera). Proszę zaczekać. Zaraz wyjdę. W przedpokoju przy drzwiach stoi walizka. Proszę ją zabrać do samochodu. (Szofer wychodzi. Milczenie).

Smith: Odjeżdżasz?

Dżessi: Tak.

Smith: Zupełnie?

Dżessi: Tak.

Smith (wyciąga papierosy i częstuje Dżessi): Zapalimy?

Dżessi: Tak. Masz rację. Chociaż, dlaczego? Mógłbyś mi powiedzieć, że nie powinnam porzucać cię, kiedy jesteś biedny i nieszczęśliwy, ale w tej biedzie i nieszczęściu ja byłabym dla ciebie tylko jeszcze jednym twoim nieszczęściem. I czym dalej — tym gorzej. Znam siebie. Trzeba odejść (wstaje i milcząc, długo patrzy na Smitha, nagle klęka przed jego fotelem, nachyla do siebie jego głowę i całuje włosy). Mój siwy, cudny... (uwalnia głowę a ręce Smitha bierze w swoje dłonie, długo przygląda się im i przyciska je do ust).

Smith: Dżessi.

Dżessi (nie odejmując rąk jego od swych ust, matowo): Nie przeszkodzaj mi. Bardzo lubię twoje ręce: Silne, wielkie, dobre. (Patrząc na ręce). Żegnajcie! (wstaje i siada w fotelu). Tak, tak Harry! A co ty mnie powiesz?

Smith: Nic. (Z tyłu podchodzą do krzeseł dwaj tragarze, Smith i Dżessi instynktownie oglądają się i równocześnie wstają. Tragarze zabierają krzesła).

Dżessi: Dowidzenia Harry (wyciąga do niego rękę).

Smith (Ściskając jej rękę mówi bardzo spokojnie): Dowidzenia. (Dżessi robi gwałtowny ruch w stronę Smitha, lecz spotyka się z jego spojrzeniem. Patrzy na nią bardzo chłodnym, spokojnym wzrokiem. Pod wpływem tego spojrzenia Dżessi raptownie odwraca się i wychodzi. Smith długo stoi nieruchomo, w tej samej pozie. Nasłuchuje. Dżessi wyjeżdża za bramę. Cisza. Już wyjechała. Smith ciągle stoi w poprzednim bezruchu. Podchodzi tragarz).

Tragarz: Można stolik?

Smith: Co?

Tragarz: Stolik!

(Smith spojrzawszy na stolik na którym stoi butelka whisky i dwie szklanki do ćwierci zapełnione, bierze wszystko to w ręce i rozgląda się po pokoju, szukając miejsca gdzie mógłby postawić. Pokój zupełnie pusty. Jedynie w kącie, na podłodze stoi odbiornik radiowy: Smith podchodzi, stawia na nim butelkę i szklanki. W tej chwili daje się słyszeć głos przez radio):

— Uwaga. Wznawiamy rozmowę z naszym korespondentem Bobem Morfi.

— Bob, Bob! Dobrze nas pan słyszy?

— Kiepsko! Coś tu w maszynie potwornie trzeszczy.

— Jak wysoko jesteście?

— 13.000!

— Winszujemy! Do pełnego sukcesu została zaledwie drobnostka.

— Co, nie słyszę!

— Jak pan ocenia jakość samolotu „Czerison"?

— Jakość samolotu? Na pewno znakomita, skoro wznieśliśmy się na taką wysokość. Tylko teraz coś rozpaczliwie trzeszczy i kiepsko was słychać.

— Bob. Bob, Bob, Morfi!

— Poczekaj pan, zaraz, coś mi pokazuje pilot...

— Bob, czy pan nas słyszy? Bob, słyszy nas pan?

— Słyszę was, dranie przeklęte, zdaje się... zdaje się wszystko idzie do diabła... Rozsypujemy się... My...

(W pokoju absolutna cisza. Długie milczenie. Smith stoi z twarzą ukrytą w dłoniach. Powoli opuszcza rękę, zwolna sięga ręką do górnej, bocznej kieszeni marynarki i wyciągnąwszy 20 dolarowy banknot mówi cicho, bezbarwnie).

Smith: Przypominam sobie. Na kwiaty. (Do pokoju wchodzi cicho Hardi w palcie i kapeluszu. Ujrzawszy Smitha zdejmuje kapelusz. Stoi milcząco. Następnie pochrząkuje. Smith odwraca się).

Smith (bez żadnego zdziwienia): Jak się masz Hardi?

Hardi: Dzień dobry panu.

Smith: Jak zdrowie żony i dzieci?

Hardi: Dziękuję, dobrze.

Smith (obojętnie): Cieszę się bardzo. Przyszedł pan zarobić na mnie swoich codziennych 10 dolarów?

Hardi: Być może, że nawet 20. Bądź co bądź z panem wyszedł skandal zupełnie niecodzienny.

Smith: Zupełnie niecodzienny? Tak. Bodajże ma pan rację.

Hardi: Panie Smith, ale niech mi pan nie ma tego za złe. Jeśli nie ja, to inny by tu przyszedł, więc pomyślałem sobie, dlaczego nie ja miałbym zarobić? Przecież znamy się z panem od tak dawna?

Smith: Oczywiście.

Hardi: Nie odmówi mi pan odpowiedzi na kilka pytań?

Smith: Dobrze, ale pan bardzo kiepsko pisze. Ma pan podły styl. Chciałbym aby pańska notatka choć raz w życiu była dobrze napisana. Wyjm pan notes. Sam panu podyktuję.

Hardi: Ale...

Smith: Nie bój się pan, to będzie dobrze zrobione. Kto wie czy nie dostanie pan za to jeszcze o 5 dolarów więcej.

Hardi (Wyjąwszy blok i trzymając w ręku wieczne pióro): Słucham.

Smith: No to pisz pan (dyktuje, spacerując po pokoju). Dziś udało mi się odwiedzić osławionego Harry Smitha, byłego współpracownika koncernu Makfersona, który — jak wiadomo — spróbował walczyć ze swym szefem i został wyrzucony przezeń z Redakcji. Harry Smith usiłował wydać swą książkę w wydawnictwie Kesslera, ale Kessler nie zgodził się. Następnie zamierzał drukować swoje felietony w gazecie Williamsa, ale i ten mu odmówił. Smith utracił swój dom, pieniądze, auto, a nawet własny kąt i trochę spokoju. Zginął mu najbliższy przyjaciel i porzuciła go żona. Kiedy przyszedłem do niego — byłem zmuszony pisać na stojąco, gdyż ze wszystkich mebli jakie posiadał nie pozostało mu nawet ani jedno krzesło. Krążą pogłoski, że Smith zamierza w najbliższych dniach wypnąć się Makfersenowi w charakterze reportera policyjnego. Ale te pogłoski... te pogłoski nie odpowiadają rzeczywistości. Wyżej wymieniony Smith nie pójdzie do Canossy i jest wściekle zły— jak mawiał nieboszczyk jego najserdeczniejszy przyjaciel. Wyżej wymieniony Smith nie pójdzie na reportora policyjnego do Mister Makfersona, a także nie zamierza powiesić się, poderżnąć sobie gardła lub wyskoczyć z 12 piętra. Smith — przeciwnie — spróbuje odnowa rozpocząć swe życie!" Dlaczego nie piszesz pan, Hardi? To jeszcze nie koniec. Jeszcze nie skończyłem. „Wyżej wymieniony Smith, będzie próbował mimo wszystko wyjaśnić w końcu czy człowiek urodzony w tym kraju przez uczciwą Amerykankę może uczciwie przeżyć w nim swoje życie'". Tak, tak, pisz pan, pisz... A zresztą — pal licho, jeśli pan tego nie napiszesz, napiszę to sam i przecież znajdę wreszcie w Ameryce miejsce, gdzie mi to wydrukują. „Wyżej wymieniony Smith długo i naiwnie sądził, że jest jedna tylko Ameryka. Teraz już wie. Są dwie Ameryki. I jeśli dla Smitha nie ma na szczęście — tak, tak, na szczęście — nie ma miejsca w Ameryce Hearsta — to on znajdzie sobie do stu diabłów. miejsce w drugiej Ameryce — Ameryce Lincolna, Ameryce Roosevelta.

Kurtyna.

KONIEC.

Migawki z Bułgarii

MŁODZIEŻOWE ŚWIĘTO „FIZKULTURY" W SOFFI

Przyjechaliśmy do Sofii w przeddzień wielkiego święta młodzieżowego „fizkultury". Oczywiście, że były z tego powodu pewne trudności z uzyskaniem miejsca w hotelu, trochę większe trudności z uzyskaniem kart wstępu, lecz największe z przedostaniem się na stadion. Już na długo przed godziną rozpoczęcia pokazów, tłumy ludności zainteresowane porannym manifestacyjnym pochodem kilkunastotysięcznej rzeszy młodzieży przez miasto okupowały stadion — i my udając się w ostatniej chwili zastaliśmy prowadzące na stadion bramy zamknięte i oblężone przez tłumy, pragnące mimo braku miejsca przedostać się za wszelką cenę do wewnątrz. Podziwialiśmy cierpliwość i uprzejmość naszych gospodarzy: Bułgarów z Centralnego Związku Spółdzielczego, którzy zdołali nas, mimo wszelkich przeciwności, wprowadzić wreszcie na trybuny.

Okazało się wkrótce, że wysiłek nasz sowicie się opłacił. Jedne po drugich następowały ćwiczenia grup młodzieżowych, reprezentujących różne organizacje, oraz różne tereny. Część młodzieży warneńskiej, ubrana w białoniebieskie kostiumy, tworzy na boisku wielką kotwicę, wokół której reszta imituje poruszające się łodzie. Młode dziewczęta i chłopcy z rejonu nastarszego, bo założonego przez Filipa Macedońskiego miasta Plowdiw, w zielonych i żółtych kostiumach przedstawiają kolejno sianie, pielęgnację i zbiór tytoniu, układając się na zakończenie na boisku w kształt zielono-żółtych liści tytoniowych. W niebiesko-granatowych kostiumach nieliczna grupa chłopców z czarnomorskiego portu Burgas imituje ruch morza. Młodzież pleweńska sieje i zbiera zboże, tworząc na zakończenie białoczerwoną gwiazdę bułgarską, a młodzież ze starej Zagóry przedstawia ciekawie zbiór róż.

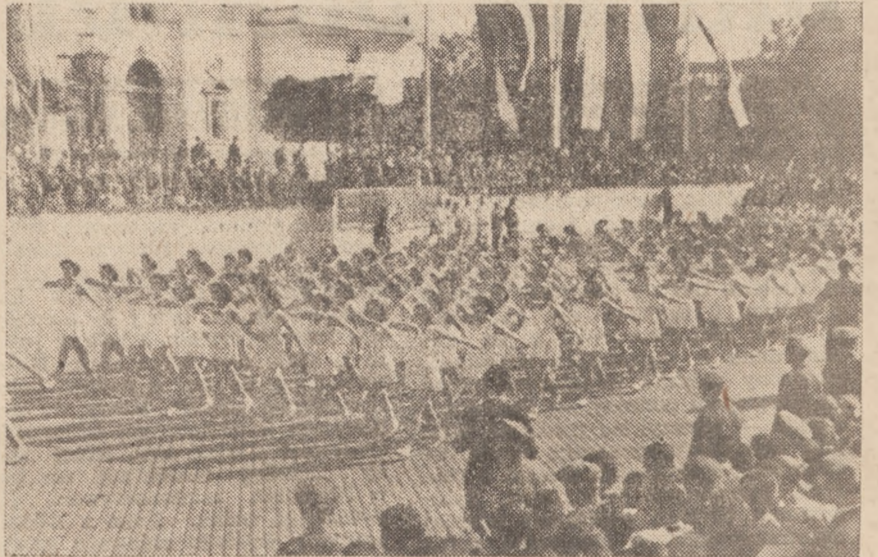
Bardzo efektownie wypadł pokaz licznej grupy młodzieży z Rutszuku, portu na Dunaju. Ubrani w niebiesko-zielone kostiumy przedstawiają kolejno wolny bieg Dunaju, Dunaj zamarznięty zimą i wreszcie tworzą most nad Dunajem między Bułgarią i Rumunią.

Tysiąc osobowa grupa młodych brygadierów pracy, buduje w mgnieniu oka z przyniesionych belek baraki i wykonuje różne prace ziemne. Wreszcie na zakończenie jedna z grup tworzy na boisku datę 1944 roku, z której to wyskakuje nagle 9 wrzesień, przynosząc ze sobą rewolucję ludową.

Piękne te pokazy, trwające ponad 4 godziny, radowały nie tylko nasze oczy, ale utwierdziły nas również w przekonaniu, że nowy rząd demokratycznej Bułgarii, przywiązując wielką wagę do umasowienia kultury fizycznej, zwłaszcza wśród młodzieży, kroczy po właściwej drodze.

W czasie naszego dalszego pobytu na terenie Bułgarii mieliśmy możność obserwować młodych brygadierów ofiarowujących bezinteresowną pracę dla odbudowy kraju, byliśmy w świetlicach młodzieżowych i miłe wrażenie pierwszego dnia naszego pobytu na ziemi bułgarskiej utrwaliło się, budząc w nas przekonanie, że młodzież bułgarska to prawdziwa przyszłość kraju.

MARIAN WERALSKI



Jedne po drugich następowały popisy grup młodzieżowych



Bułgarskie stroje ludowe

Nowe książki

Gustaw Daniłowski — Z minionych dni. Fragmenty powieściowe. str. 190. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Michał Priszwin — Korzeń życia. Zbiór opowiadań, str. 269. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Mirosław Żuławski — Ostatnia Europa. Trzy miniatury, str. 135. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Janusz Meissner — Wilk, Ryś i Dziewczyna. Największą atrakcją tej książki jest niezwykłe bogactwo tematów, które świadczą nie tylko o szerokich zainteresowaniach autora, ale także o kapitalnej umiejętności opisywania wspomnień w sposób żywy, barwny, pełen dynamiki. Str. 207. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

Pola Gojawiczyńska — Rajska jabłoń — Powieść w 2-ch tomach, str. 220 + 243. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Karol Filipowicz — Krajobraz niewzruszony. Opowiadania, str. 210. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Wiech — Cafe pod Minogą. Jest to pierwsza powieść popularnego w Polsce felietonisty. Ilustracje Jerzego Zaruby. Str. 230. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

Jan Drda — Miasteczko na dłoni. Bohaterem tej książki jest miasteczko Rukapań, położone w górzystej, pięknej okolicy, nad wartką rzeką; miasteczko bogato wyposażone przez naturę, w którego pięciu dzielnicach świetnie przez autora scharakteryzowani mieszkańcy, pół chłopi, pół mieszczanie trudnią się rolnictwem, kopią srebro, rabią i spławiają drzewo, produkują wino, uprawiają kłusownictwo w lasach i na rzece. Z czeskiego przełożył Zdzisław Hierowski. Str. 287. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

J. M. Rytard — W pięknych górach. Powieść dla młodzieży, w której zespalają się w jedną całość trzy główne elementy. Tatry, śnieg i narty. Jest to jedna z najlepszych powieści narciarskich. Ilustracje Jerzego Karolaka. Str. 208. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

Rozmaitości ze świata



W Bury Farm, Buckinghamshire, odbyła się aukcja na 15.000 indyków. Na zdjęciu jeden z przedstawicieli ptasiego rodu postanowił jednak inaczej ułożyć sobie swą przyszłość podrywając się do dawno zapomnianego lotu.

SPÓŁDZIELNIA KSIĘGARSKO - PAPIERNICZA „NAUKA" W BYDGOSZCZY

Spółdzielnia Księgarsko - Papiernicza „Nauka" w Bydgoszczy, Aleja 1-go Maja 5, istnieje od lipca 1945 r. Prowadzi działy: księgarski, papierniczy i wydawniczy. Posiada 3 sklepy w Bydgoszczy i 1 w Koronowie. Obroty spółdzielni w 1946 r. dały 32 miliony zł. W roku bieżącym przewidywana suma obrotów wyniesie 40 milionów zł. Dział Wydawniczy Spółdzielni zawiera 25 pozycji. Są to wydawnictwa dla młodzieży, podręczniki szkolne i wydawnictwa dla szkół zawodowych. Łączna ilość tych nakładów wynosi 250.000 egzemplarzy. Spółdzielnia zrzesza 70 członków i zatrudnia 40 pracowników, wykazując dużą żywotność. Jest to zasługą jej Zarządu w osobach ob. ob.: prezesa Leona Kowalczyka, skarbnika Bolesława Rassalskiego i sekretarza Jana Ewiaka. (a)

Jan Rojewski

BRAMA BRANDENBURSKA

2. OSTATNIA LEKCJA

Uczucie podejrzliwej, wrogiej ostrożności, z którym przybysz z Polski staje na berlińskim Banhofie bardzo szybko ustępuje, pojawia się natomiast, wraz z pierwszym niemieckim rozmówcą smak obrzydzenia, nie bez domieszki pogardy i dumy narodowej. Pierwszym moim rozmówcą, jak się później okazało, był niemiecki student. Ledwie zdążyłem wysiąść z pociągu i rozejrzeć się bezradnie po obcej hali dworcowej, a już dopadł mnie w uprzejmych lansadach, zwabiony polskim mundurem mojego towarzysza podróży. — Panowie z Polski! — ucieszył się gościnnie, miał przy tym twarz wymazaną owym uśmiechem, spotykanym czasem u starych, bezzębnych prostytutek. Zażenowanie, płynące z poczucia własnej bezatrakcyjności w połączeniu z tupetem, jaki daje bezwstydna gotowość jest ostatnio jego zawodem. Na wszystkich berlińskich dworcach czyhają setki młodych Niemców na okupanta, aby mu podnieść walizę do samochodu, lub pokazać drogę do żądanego punktu. Wystarczył króciutki okres okupacji, żeby ludzie, którzy niedawno jeszcze strzelali za najmniejszy objaw lekceważenia ich autorytetu, wyzbyli się wszelkiego poczucia godności osobistej. Ten sam krótciutki okres sprawił, że młody Niemiec, który zdobył odznaczenie Hitlera za odważne bombardowanie otwartych miast, usuwa się tchórzliwie już przy mocniejszym słowie pod jego adresem. Okazało się raz jeszcze, że okrucieństwo nie ma nic wspólnego z odwagą, a pycha — z godnością. Więcej, pycha i brak godności, okrucieństwo i brak odwagi, chodzą w parzę, zależnie od koniunktury. Trzeba tu jeszcze wyjaśnić, że okupacja, która dosięgła Niemców, różni się zasadniczo od tej, którą oni narzucali podbitym krajom. Niemcy okupowane nie wiedzą co to śmiertelny strach, niepewność najbliższej chwili, która towarzyszyła nam w ciągu pięciu lat hitlerowskiego terroru. Jeżeli dodamy ponadto, że racje żywnościowe, przyznane Niemcom przez Aliantów znacznie przekraczają owe ochłapy, które Niemcy rzucali narodom podbitym, zrozumiemy, że prostytucja, dosłowna i w przenośni, która ogarnęła najszersze warstwy społeczeństwa niemieckiego, jest jeszcze jednym ze skutków reżimu faszystowskiego. Dla Niemca, któremu Hitleryzm zgruchotał kręgosłup moralny, poto, żeby bez drgnienia mógł mordować dzieci i starców, nie ma dzisiaj takiego progu moralnego, którego by nie przekroczył.

Polska misja wojskowa w Berlinie mieści się przy Schlütterstrasse, przecznicy Kurfürstendamm, reprezentacyjnego bulwaru Berlina. „Uprzejmy" student podwiózł nas S-Bahnem (kolej nadziemna) do Savigny-Platz, skąd, mile gawoząc, jak cicerone za najlepszych pokojowych czasów, podprowadził nas pieszo do gmachu misji. Mijając Kurfürstendamm, przypomniałem sobie stary dowcip z czasów carskich. Pijany kupiec siada późną nocą do dorożki w Petersburgu i skonstatowawszy, że mu skradziono zegarek, pyta dorożkarza, która godzina. Dorożkarz rozgląda się po ulicy i mówi po chwili: „Będzie pierwsza po północy, bladj gusto paszła — (prostytutki tłumnie wyruszyły). Była już pewnie pierwsza po północy, bo przez Kurfürstendamm przewalały się tłumy prostytutek. Niemieckie dziewczęta, którym Hitler wbił w głowy trzy „K" (Kinder, Kiche, Kirche) sięgnęły po czwarte „K". Reprezentacyjny bulwar Berlina.

Nie zdążyłem się jeszcze na dobre uśmiechnąć pod wpływem tych myśli, a już „uprzejmy" student spostrzegł mój uśmiech i wziął go, oczywiście, za objaw łakomej chuci. Jeżeli życzymy sobie, może zaraz zatrzymać jedną ładniejszą, albo dwie, o ile wolimy oddzielnie... od pięćdziesięciu do dwustu marek, lub, bardzo modny obecnie w Berlinie, handel wymienny, to znaczy, obie strony płacą w naturze, najlepiej słoniną.

Za jeden świński zad, można mieć setki niemieckich...

Speck, słonina, jest hasłem dzisiejszych Niemców. Nowym bożkiem. Gdybym miał wystawić na miejscu zwalonych pomników Hitlera nowy symbol Niemiec, byłby to niewątpliwie różowy prosiak. I pewny jestem, że te same ręce, które czciły Hitlera, wyciągnęły by się w nowym bałwochwalstwie: „Heil!". Kiedy się mówi Niemcom o demokracji, odpowiadają cynicznie: „Dajcie nam lepiej słoniny". Dekalog demokracji nie budzi w Niemcach zainteresowania. Chcą świńskiego cielca. I kto z Aliantów pierwszy wystawi różowego prosiaka na cokołach po Hitlerze, ten zdobędzie duszę zgrai zgangrenowanej dwunastoletnim faszyzmem.

Tymczasem zbliżaliśmy się, ciemnymi ulicami, do gmachu misji. Przesadziłbym oczywiście, gdybym stwierdził, że student niemiecki sprawił mi zawód swoją wazeliniarską postawą. A jednak, idąc tak przodem w ciemnościach, pomyślałem o latach okupacji i machinalnie odwróciłem się do Niemca, kroczącego z tyłu, z walizkami, Nie, nie zamierzał strzelać, nie zamierzał nawet uciekać z bagażem. Młody Niemiec, prowadzący Polaka ciemnymi zaułkami Berlina myślał tylko o słoninie, którą za chwilę może otrzyma. A nie myślał o tym dlatego, że był bardzo głodny, bo swoje tysiąc pięćset kalorii już wrąbał tego dnia, ani dlatego, że uświadomił sobie zbrodniczość swoją i swoich współziomków i pragnął bodaj drobną przysługą wynagrodzić Polakowi przyczynione zło. Przesadziłbym, gdybym stwierdził, że student niemiecki sprawił mi zawód swoją wazeliniarską postawą, a jednak... Przekonałem się raz jeszcze, że nawet najbardziej sprawiedliwi Polacy oceniają pokolenie hitlerowskie wyżej, niż na to zasłużyło.

Powiedział mi Broniewski przed wyjazdem, że dobrze jest zobaczyć Berlin! Lżej potem patrzyć na ruiny Warszawy. Dużo w tym prawdy. Muszę, mimo to, zwierzyć się z pewnego osobliwego uczucia żalu, że Berlin jest zbombardowany... Zbombardowane miasta, Stalingrad, Warszawa, Coventry, były w tej wojnie symbolami człowieczeństwa i dlatego z żalem stwierdziłem, że ruiny kamienic berlińskich nadają temu brzydkiemu miastu ponurych katów nawet to jedno człowiecze piętno. Śmieszne, ale po tej wojnie jest się bardziej zazdrosnym o ruiny niż o całe kamienice. W rozmowach ze sobą, cudzoziemcy licytują się ilością zburzonych domów w swojej ojczyźnie. Nawet „uprzejmy" student nabierał cech ludzkich, kiedy wymieniał ze statystyczną dokładnością ilość zburzonych domów w Berlinie, Dreźnie, Frankfurcie nad Odrą. Żeby nas nie urazić jednak, dodał pośpiesznie, że oczywiście Warszawa jest na pierwszym miejscu.

Od „uprzejmego" studenta dowiedziałem się także, że politechnikę w Charlottenburgu zburzyli Polacy, którzy na tym właśnie odcinku przełamali obronę Berlina. Nie mówił tego w formie zarzutu, przeciwnie, w nadziei na większy kawałek słoniny, starał się połechtać w ten sposób naszą dumę narodową katastrofą własnej uczelni. Mimo to wyjaśniłem mu, że zburzenie politechniki nie było celem naszych żołnierzy, choć mogło nim być. Bo w szeregach pierwszej armii walczył niejeden student politechniki warszawskiej, którą w trzydziestym dziewiątym roku absolwenci politechniki w Charlottenburgu zamienili na stajnię, w dosłownym znaczeniu, a w czterdziestym czwartym spalili. I jest w tym może jakiś sens, że ostatnią lekcję na politechnice w Charlottenburgu dali studenci politechniki warszawskiej.

„Uprzejmy" student nie wytrzymał i przestał być na chwilę prostytutką. Z nietajoną, nareszcie ludzką radością, zakomunikował mi, że wkrótce przyjeżdża do Berlina grupa studentów anglosaskich, którzy podjęli się dobrowolnie odbudować politechnikę w Charlottenburgu. To była prawda i nie byłem nią zaskoczony. — Czy nie uważa pan — zapytałem — że studenci anglosascy powinni przedtem odbudować politechnikę warszawską? — Z oczu „uprzejmego" studenta wyjrzała na sekundę tak dobrze znana mi pycha, już miała wyskoczyć słowami spomiędzy ściągniętych warg, ale uwięzła za zębami. Smak cudzej słoniny okazał się ponętniejszym od smaku własnej prawdy.

KRONIKA KULTURALNA

JAN BRZECHWA należy do tych szczęśliwych, o pyknicznej konstytucji satyryków, którzy umieją patrzeć pogodnie na życie. Pogodą też tchnie jego najnowszy tomik pt. „Palcem w bucie", (wydawnictwo Sp. Wyd. „Książka"), w którym negacja niejakich zjawisk ujemnych naszej rzeczywistości harmonijnie się kojarzy z jej afirmacją, dając w wyniku typ satyry pozytywnej. Doskonały jest wiersz pt. „Poemat", gdzie autor biada nad tym, jak trudno jest literatowi przystosować się do wymagań „Urzędu Improwizacji" czyli Informacji i Propagandy: trzeba wciąż zmieniać „ustęp wstępny i również ten następny, i tę drugą połowę, i cztery wiersze końcowe". Jeden z wierszy nabrał w danej chwili pikantnego posmaku, nie zależnie od intencji autora. Oto on: „Gdy Anglosasi rozbili atom, polska reakcja wyszła z okrzykiem, że atomowa bomba jest na to, by skłócić Minca z Mikołajczykiem. Trochę za wiele, trochę za wiele, nie przesadzajmy, obywatele!".

„MIESIĘCZNIK LUDOWY", wydawany w Warszawie przez Ludowy Instytut Kultury, przynosi w swym ostatnim zeszycie (Nr 6—7) dużo rozmaitego materiału. Przede wszystkim dowiadujemy się z niego, że celem „przyśpieszenia kulturalnego rozwoju wsi i wzmocnienia postępowego ruchu ludowego", nastąpiło zjednoczenie wszystkich wiejskich instytucyj i organizacyj oświatowych w jedno wielkie towarzystwo oświatowe pod nazwą „Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych RP" — w skrócie T. U. L. A instytucyj tych, jak się okazuje, było niemało: uniwersytety ludowe, Instytut Oświaty, Instytut Kultury, Instytut Muzyczny, T-wo Teatru i Muzyki Ludowej, Wiejska Spółdzielnia Kinowa itd. Wszystko to teraz będzie tworzyć jedną zwartą organizację, działającą w oparciu o Samopomoc Chłopską, Wici, Z. N. P. wraz z S. L. i lewicą PSL. Nie ulega wątpliwości, że i „Miesięcznik Ludowy", jako organ tego nowego zjednoczenia kulturalnego, nabierze odtąd charakteru jednolitego i stanie się zapewne wybitnie programowym pismem, przeznaczonym rzeczywiście dla najszerszych mas chłopskich. Jak takie pismo chłopskie powinno się przedstawiać, informuje Józef Bieniek w artykule „Taka gazeta jest potrzebna". Musi ono mieć: „ogólną linię absolutnie apolityczną, kierunek kategorycznego postępu, szanujący jednak tradycje i wierzenia mas chłopskich, poziom przystępny, język jasny, spokojnie, rzeczowo i godnie omawiający wszelkie zdarzenia, zjawiska i problemy". Ponadto w piśmie takim nie powinno być miejsca na „zaczepki uczuć religijnych wsi, jak również na pornografię oraz polityczne użerki i kłótnie". — Powiedziane to jest krótko a węzłowato i prawdziwie, rzetelnie po chłopsku. Naczelne władze nowego TUL stanowią tymczasem między innymi: Wł. Kowalski, Cz. Wycech, J. A. Król, St. Dybowski, Jan Dąb-Kocioł, Z. Solarzowa, Fr. Rusin, J. Ozga-Michalski, Wincenty Wasik. Czekamy niecierpliwie na następny numer „Miesięcznika Ludowego".

St. Łatka

KĄCIK JĘZYKOWY

STRONA BIERNA I SZYK WYRAZOW

Nadużywamy często tzw. strony biernej czasowników. Czasownik ma dwie strony: czynną i bierną: „Ja kocham" — to strona czynna; „jestem kochany" — strona bierna. Język polski, w przeciwieństwie do łaciny lub niemczyzny, woli stronę czynną. Nie znaczy to, aby strony biernej nie należało używać; są zwroty, kiedy się bez niej obejść nie można; nie należy jej tylko nadużywać. A więc, jeśli mamy wybierać pomiędzy takimi dwoma, absolutnie poprawnymi zdaniami: „syn został ukarany przez ojca" (strona bierna) i „ojciec ukarał syna" (strona czynna), wybierzmy raczej to drugie. „został ogłoszony komunikat" i „ogłoszono komunikat"; „narady zostały odroczone" i „narady odroczono" — wszystkie te zdania są bezbłędne; można mówić tak i tak, duch języka jednak wybiera konstrukcje: „ogłoszono komunikat", „narady odroczono", które zresztą są zwięźlejsze i wyrazistsze.

Warunkiem poprawności i jasności języka jest również układ wyrazów w zdaniu czyli szyk. Szyk wyrazów w języku polskim jest na ogół dowolny i przestawny, nie tak jak w języku francuskim, gdzie podlega on ścisłym regułom i przestawienie słowa w zdaniu zmienić może cały jego sens lub spowodować w ogóle niezrozumienie zdania. Dowolność szyku wyrazów ma swe zalety, przydaje bowiem naszemu wysłowieniu się swobody i lekkości, indywidualizuje je. Ale ma swe granice. Np. jeśli chodzi o szyk podmiotu, orzeczenia i dopełnienia. Podmiot kładziemy zwykle przed orzeczeniem i przed dopełnieniem, zwłaszcza jeśli biernik dopełnienia brzmi tak samo, jak mianownik podmiotu — np. „śnieg zasypał las". „Śnieg" — podmiot, „las" — dopełnienie w bierniku. Gorzej będzie, jeśli powiemy: „las zasypał śnieg", powstaje bowiem dwuznaczność. W gazecie znajdujemy takie np. zdanie: „niezadowolenie wywoływało to stanowisko". Zbudzić się może wątpliwość: gdzie tu podmiot i gdzie dopełnienie? co przez co było wywołane? niezadowolenie przez stanowisko czy stanowisko przez niezadowolenie? Z dalszego tekstu wynika, że autor chciał powiedzieć: „stanowisko to wywoływało niezadowolenie" — i oczywista, od razu trzeba było tak napisać. Jeśli więc zmiana miejsca podmiotu i dopełnienia może wpłynąć na sens zdania, należy trzymać się ściśle określonego ich porządku.

W innych wypadkach można je przestawiać i czynimy to nieraz, chcąc położyć na jeden z tych wyrazów szczególny nacisk. Możemy więc mówić dowolnie: „sen zmorzył chorego — chorego zmorzył sen — zmorzył chorego sen" — zauważamy bowiem, że za każdym razem, wysuwając na pierwsze miejsce inną część zdania, nadajemy zdaniu taki sens, logiczny i uczuciowy, jaki nam w danym wypadku jest potrzebny.

BAKAŁARZ

ROZSTRZYGNIĘCIE PIERWSZEGO KONKURSU JĘZYKOWEGO

ogłoszonego w nr 41 „Tygodnia"

NAGRODY OTRZYMALI DROGĄ LOSOWANIA:

I nagrodę zł 1.000 — p. BOHDAN ZART, W-wa, ul. Narbutta 27-a m. 25.

II i III — książkowe: p. LEON FERENS, uczeń liceum, Kędzierzyn (woj. Śląsko-Dąbrowskie), ul. Sobieskiego nr 20 i p. ZYGMUNT MIRSKI, Szczecin, Al. Wojska Polskiego 53 m. 2.

IV i V — prenumerata kwartalna „Tygodnia": p. DANUTA KOMODERÓWNA, Poznań, ul. Św. Wawrzyńca nr 26 m. 4 i p. J. OPTOŁOWICZ, Lublin, ul. Karmelicka 3 m. 17.

Szczegółowe omówienie konkursu i jego wyników podamy w następnym numerze.

ROZWÓJ RADIOFONII POLSKIEJ

UMOWA Z JUGOSŁAWIĄ I WĘGRAMI

Po zawarciu Konwencji o współpracy radiofonicznej polsko - czechosłowackiej, Polskie Radio zawarło ostatnio dwie nowe umowy: z Jugosławią i Węgrami. Przewidują one wymianę programową w postaci nadawania przynajmniej raz w miesiącu półgodzinnych audycji słowno-muzycznych, przesyłanych sobie wzajemnie materiałów utrwalonych mechanicznie. Z chwilą uruchomienia połączenia kablowego między Polską a Jugosławią i Węgrami — transmitowanie uroczystości i koncertów odbywać się będzie bezpośrednio.

Ważną sprawą tych porozumień jest systematyczna wymiana muzyków (którzy oprócz występów w rozgłośniach będą mieli możność dawania koncertów publicznych), wymiana reżyserów, speakerów i reporterów.

Niezależnie od audycji stałych, prowadzona będzie wymiana materiałów programowych oraz raz w miesiącu nadawane będą 15-to minutowe audycje, oparte na wymianie materiałów z zakresu popularyzacji osiągnięć gospodarczych, kulturalnych i politycznych zainteresowanych krajów.

Tego rodzaju umowy mają doniosłe znaczenie dla rozwoju stosunków kulturalnych między zainteresowanymi krajami, toteż na międzynarodowej konferencji radiowej (O. I. R.) i w UNESCO stawiano wszystkim za wzór umowy zawierane przez Polskie Radio z innymi radiofoniami.

Podkreślić też należy, że Polskie Radio jest jedynym radiem w Europie, które posiada swoich przedstawicieli we wszystkich prawie państwach.

SIŁA RADIOFONII NASZYCH SĄSIADÓW

O ile chodzi o Jugosławię, to radiofonia tam jest jeszcze słaba. Radio Jugosłowiańskie liczy obecnie 215.000 abonentów, a radiostacje mają mocy 59 kw. Za dwa lata staną tam cztery radiostacje: w Belgradzie, Zagrzebiu, Sarajewie i Skopli o mocy 290 kw., a w r. 1952 przewiduje się już 560.000 abonentów i stacje o łącznej mocy 850 kw.

Radiofonia węgierska jest dziś słabsza, niż przed wojną, kiedy to dwie radiostacje w Budapeszcie liczyły 135 kw. i słuchane były w dużym zasięgu. Obecnie radiostacja węgierska liczy 30 — 40 kw. i z braku środków finansowych nie ulega rozbudowie.

Silniejszą od nas pod względem technicznym jest radiofonia czechosłowacka, która liczy około 1.800.000 abonentów, a więc znacznie więcej niż przed wojną. W 1948 r. radiofonia czechosłowacka wyprodukuje około 300 — 400 tysięcy aparatów radiowych i pewną ich ilość oferuje Polsce.

Brak nam jest danych porównawczych o radiofonii radzieckiej, która pod względem technicznym przedstawia dużą siłę.

Polska jest jedynym krajem w środkowej Europie, w którym jest radiofonia przewodowa. W najbliższym czasie ustawione zostaną dwa nowe magnetofony o wysokiej częstotliwości, co umożliwi lepszy odbiór transmisji muzycznych.

FESTIWAL RADIOWY MUZYKI SŁOWIAŃSKIEJ

W okresie od 8 do 16 listopada r.b. Polskie Radio organizuje wielki festiwal muzyki słowiańskiej. Jest to impreza kulturalna wielkiej wagi, jakiej nie było w okresie powojennym. W festiwalu weźmie udział 5 radiofonii słowiańskich: Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji, Jugosławii i Bułgarii. Będziemy więc mieli sposobność zapoznania się z czołowymi kompozytorami państw słowiańskich oraz ich muzyką ludową w czasie audycji radiowych i 17 wielkich, publicznych koncertów, zorganizowanych w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Wrocławiu, Poznaniu, Bydgoszczy i Łodzi. W tym czasie Polska gościć będzie najwybitniejszych solistów i dyrygentów państw, biorących udział w festiwalu.

Dowodem znaczenia kulturalnego i propagandowego festiwalu jest zainteresowanie państw, nie biorących w nim udziału, przy czym Francja zamówiła transmisje 11 koncertów, ponadto zapotrzebowanie zgłosiły: Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Belgia, Monaco i państwa skandynawskie.

Niemal wszystkie orkiestry na terenie Polski przygotowują program festiwalowy. Wezmą w nim bowiem udział: Orkiestra symfoniczna Polskiego Radia pod dyrekcją Grzegorza Fitelberga, W. Nowickiego oraz Cz. Lewickiego, orkiestra kameralna i chór Państwowej Filharmonii Krakowskiej pod dyrekcją Andrzeja Panufnika; Orkiestra Filharmonii Poznańskiej pod dyrekcją Stefana Wisłockiego, orkiestra symfoniczna Filharmonii Katowickiej pod dyrekcją Włodzimierza Ormickiego i Fr. Bilinga, Mała Orkiestra, Chór mieszany i zespół instrumentalny Polskiego Radia oraz nowo utworzona orkiestra krakowskiej rozgłośni pod dyrekcją Jerzego Gerta. Ten ostatni zespół wzbudza wielkie zainteresowanie, gdyż wystąpi po raz pierwszy z programem muzyki popularnej, rozrywkowej, w najlepszym tego słowa znaczeniu, gdyż dyrekcja Polskiego Radia chce wyrugować z programów radiowych wszelką tandetę, ukrywającą się dotychczas pod nazwą muzyki lekkiej. Zespół ten produkować będzie utwory polskie, przeważnie nowe, zamawiane przez Polskie Radio u najwybitniejszych naszych kompozytorów.

Oprócz zespołów instrumentalnych i chóralnych wystąpią najlepsi nasi soliści oraz z innych państw słowiańskich.

OTWARCIE RADIOSTACJI WROCŁAWSKIEJ

Na zakończenie festiwalu muzyki słowiańskiej odbędzie się we Wrocławiu otwarcie nowej polskiej radiostacji o mocy 50 kw., zakupionej w Stanach Zjednoczonych za sumę 140 tysięcy dolarów. Będzie to technicznie najlepiej wyposażona radiostacja polska, toteż zasięg jej powinien być odpowiednio duży. W ten sposób zyskamy jeszcze jedną ważną placówkę kulturalną na Ziemiach Zachodnich.

Chociażby tylko na podstawie przytoczonych wyżej danych — ocenić musimy, że nasza radiofonia rozwija się bardzo pomyślnie i odgrywa już poważną rolę w radiofonii światowej, zyskując uznanie i odpowiednią pozycję w Europie. (B.)

MICHAIŁ ZŁATOGOROW

JADWIGA

(PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO)

Zdarzyło się to w Sokółce, zacisznym polskim miasteczku, zatopionym w sadach, owego dnia gdy nasi bojownicy niespodziewanie dla Niemców wtargnęli do miasta od jego krańców południowych i zachodnich. Wywiązały się zacięte utarczki. Ulice przechodziły z rąk do rąk.

Trzech bojowników — kapitan Sołdationkow, oraz komsomolcy Kartanow i Suchuszkin z obsługi radiowej — zatrzymali się przy kościele, usiłując nastawić radiostację, żeby się połączyć ze sztabem. Nagle tuż obok zamajaczyły zielone mundury szturmowców niemieckich. Minuty były policzone. Przed kościołem wznosiła się starożytna murowana kaplica. Wzrok kapitana padł na drzwiczki w lewym jej skrzydle.

— Tutaj — wskazał komsomolcom.

Ci pchnęli drzwiczki i po wąziutkich schodkach zaczęli zstępować na dół, do piwnicy. Piwnica była nabita ludem. Byli tu starcy, wychudzone kobiety, wyrostki w małych czapkach z szerokimi daszkami. Wszystko to kryło się przed gradem pocisków. Ukazanie się oficera sowieckiego i dwóch żołnierzy wywołało początkowo trwogę.

— German zobaczy, wszystkich zabije — wyszeptała sucha, wysoka Polka, patrząc z lękiem na sprzęt radiowy, który ustawiali w kącie komsomolcy. Lecz w tejże chwili rozległ się inny głos — dźwięczny, młody, pełen łagodnej pojednawczości:

— A my schowamy towarzyszów... I German ich nie znajdzie.

Kapitan wpatrzył się w półmrok. Smukła zielonooka dziewczyna wystąpiła naprzód.

— Dziękuję — wyrzekł powstrzymywanym głosem Sołdationkow: — my sami tutaj jakoś... gdyby tylko pomieszczenie...

— Rozumiem — przerwała dziewczyna: — nie możemy tu pozostać. Rozumiem, towarzyszu.

Odwróciła się do ludzi i zaczęła wyjaśniać im coś szybko i gorąco po polsku. Starzy potakująco kiwali głowami. Pierwsi wyszli z piwnicy. Za nimi pośpieszyła reszta.

— Teraz do roboty, chłopcy — powiedział kapitan: — żywo!

Kartanow i Suchuszkin poczęli szybko naciągać antenę. Tymczasem na górze, w kościele, obwarowali się Niemcy. Poprzez wąskie, zakratowane okienka piwnicy widziało się niekiedy ich nogi w butach z krótkimi szerokimi cholewami. Dobiegała uszu szczekająca mowa niemiecka.

Kapitan Sołdationkow obliczył skromny zapas amunicji swej maleńkiej załogi. W zanadrzu schował granat „cytrynkę".

— Jeśli tu nas odkryją — powiedział do komsomolców: — nie damy się żywcem!

— „Bez" — wywoływał uporczywie Kartanow: — „Bez"! Czy mnie słyszycie? Tutaj „Bez"!

W wilgotnej piwnicy radiostacja zaledwie się odzywała. Wreszcie twarz Kartanowa rozpromieniła się:

— Kapitanie, odpowiadają!

Sołdationkow skwapliwie wziął słuchawkę. Przekazał do sztabu, że w wieży kościoła zasiedli niemieccy obserwatorzy artyleryjscy z kaemami. Tak się zaczęła noc bohaterskiej warty radiostacji „Bez".

Walki w mieście nie cichły. Stara kaplica dygotała od pobliskich wybuchów. Sołdationkow spokojnie korygował ogień naszych baterii. Już przed północą przy jego pomocy spalono trzy „tygrysy", które Niemcy ukryli na przykościelnym cmentarzyku. Następnie wysadzono w powietrze baterię miotaczy min. Spokój i pewność coraz bardziej ogarniały kapitana. Jeden z komsomolców wyślizgiwał się od czasu do czasu na zwiady i obserwował, drugi dyżurował przy aparacie. Drzwi piwnicy ciągle stały otworem.

O świcie na schodkach dały się słyszeć czyjeś kroki. Kapitan wyciągnął z zanadrza granat. Komsomolcy chwycili za broń. Na progu stanęła dziewczyna. Kapitan od razu poznał jej gibką, zgrabną postać. W rękach trzymała dzban, przykryty wielkim liściem klonu.

— Towarzysze... Proszę wybaczyć, panowie... — rzekła zmieszana: — przyniosłam trochę mleka. Tylko chleba nie ma...

— Jakżeście zaryzykowali tu przyjść? — zapytał kapitan zdumiony i podniecony, mając się jednocześnie na ostrożności: — Jakże was tu przepuszczono?

Dziewczyna (miała na imię Jadwiga) wyjaśniła, że udało się jej oszukać faszystów: powiedziała im, że niesie mleko rannemu pułkownikowi niemieckiemu. Potem opowiedziała, że Niemcy ładują na samochody rannych i zabitych.

— Wnet będą uciekać — dodała.

Kapitan natychmiast przesłał radiogram. Był to ostatni radiogram „Bzu", nadany z pierścienia nieprzyjacielskiego. Wkrótce zagrzmiało potężne „hurra". Nasza piechota na nowo zdobyła ulicę, przyległą do kościoła. Pod starożytną kaplicą narastał stos trupów niemieckich. Kapitan Sołdationkow i jego młodzi pomocnicy wyzyskali do ostatka swój zapas amunicji. Teraz znaleźli się znowu wśród swoich.

Walka posuwała się naprzód. Nad czerwonymi dachami miasta i jego zielonymi sadami zapanowała cisza. Kapitan Sołdationkow, wybladły i zmęczony, brnął przez zawaloną rumowiskami ulicę. Zaglądał w okna domów i w ich bramy: chciało mu się raz jeszcze ujrzeć delikatną miłą twarz i wielkie zielone oczy. Ale nigdzie nie widać było dziewczyny.

— Jakże miała na imię? — przypomniał sobie kapitan: — Jadwiga? Jadwiga? Tak, Jadwiga... Piękne imię.

1944. Przełożył Jerzy Wyszomirski.

Oficjalny występ księżniczki Małgorzaty



Księżniczka Małgorzata po raz pierwszy wystąpiła sama bez towarzystwa rodziny królewskiej, na uroczystości spuszczenia na wodę statku pasażerskiego „Edinburgh Castle" (28.500 ton) w stoczni Harland i Wolff w Belfast.

Zbudowany dla Pocztowych Linii Południowej Afryki, statek ma 750 stóp długości i jest bliźniakiem statku „Pretoria Castle", którego spuszczaniu na wodę patronowała w październiku br. przez radio z Południowej Afryki p. Jan Smuts, żona marszałka polowego Smutsa, premiera Unii Południ.-Afrykańskiej.

Statek, służący do przewozu pasażerów i towarów ma urządzenia dla 750 pasażerów i obszerne przestrzenie załadowcze na towary oraz chłodnie.

„Edinburgh Castle", będący pięknym i zgrabnym statkiem, będzie obok „Pretoria Castle", największym okrętem pasażerskim, kursującym na Południowym Atlantyku.

Na zdjęciu: Nowo ochrzczony statek ześlizguje się po pochylni do morza w Belfast.

WIELKIE DNI



Lenin przemawia na wiecu robotników Putiłowskiej fabryki w maju 1917 r.
(wg obrazu I. Brodzkiego)

(Dokończenie ze str. 10)

— Kombinuj teraz, „może, czy nie może", a Kiereńskiego nie ma. Pawłowcy go przegapili. Akurat w tym miejscu stał ich patrol. Obok nich przejechała zakryta kareta w asyście szwadronu kawalerii. Żołnierze chcieli zajrzeć do środka, lecz dowódca patrolu, oficerek, nie pozwolił. Spraw dził jakiś dokument, mówi: „wszystko w porządku". Kareta ze szwadronem zniknęła. A w ślad za nią pędzą marynarze, mówiąc: „Kiereński uciekł". Prawdopodobnie to on był w karecie. Patrol zmienili, a nam polecili sprawdzać wszystko dokładnie. Teraz sprawdzaj nie sprawdzaj, a Kiereńskiego i tak przegapili.

Do samego Smolnego szliśmy w milczeniu. Wypuścić z rąk ptaszka w krytycznej chwili...

W Smolnym zastaliśmy tłum. Na wieczór było wyznaczone posiedzenie mieńszewicko - eserowskiego WCIK wspólnie z delegatami II zjazdu Rad. Celem tego posiedzenia było „urobienie" delegatów i zerwanie rozpoczętego powstania zbrojnego. Pomimo późnej pory posiedzenie nie rozpoczęło się jeszcze. Uczestnicy denerwowali się, krzyczeli, żądali natychmiastowego rozpoczęcia. W końcu za stołem pojawili się mieńszewicko - eserowscy wodzowie: Dan, Goc, Awksientiew i inni. Dan przywitał delegatów w imieniu WCIK i natychmiast runął złowrogo na bolszewików, rozpoczynających „bratobójcze walki" i „okropny przelew krwi".

— Opamiętajcie się, towarzysze, i nie poddawajcie się namowom ze stro ny uzurpatorów - bolszewików, — wściekał się Dan z trybuny.

Jednak delegaci wzburzeni oszczerstwami Dana podnieśli hałas i nie pozwolili mu mówić:

— Siwy koń dla ciebie towarzyszu — a nie my. Nie oczerniaj bolszewików!

Wielu obecnych ze wzburzeniem opuściło salę. Wyszedłem także i udałem się na trzecie piętro. W pokoju wojenno - rewolucyjnego komitetu mgliście świeciła maleńka lampa elektryczna. Przy stole stał Stalin otoczony przez żołnierzy. Twarz przemęczona od bezsennych nocy, lecz trzymał się jak zawsze prosto i żwawo. Na plecach — płaszcz żołnierski. Spokojnym, równym głosem mówił:

— Postanowiliśmy natychmiast wziąć w swe ręce gazetę „Wiadomość" Centralnego Komitetu Wykonawczego. Jest wprost nie do pomyślenia, aby organ Rad znajdował się w rękach mieńszewików i obrzucał błotem swego gospodarza — Rady. Czerwona Gwardia ma za zadanie zajęcie wszystkich mostów i ich ochronę: Rząd Tymczasowy próbował je zniszczyć i przeciąć Piotrogród na pół. Opóźnienie grozi upadkiem powstania. Pora ukrócić mieńszewicko - eserowską gadaninę w sali Aktowej. Trzeba, aby wszyscy nasi towarzysze, ci, którzy chcą iść z bolszewikami natychmiast wychodzili z sali i udawali się na swoje miejsca działania. Nie ma nic więcej do gadania.

Wszyscy obecni w pokoju udali się na salę Aktową. Rozsypawszy się po sali zaczęliśmy przekonywać delegatów, aby ci nie słuchali mieńszewicko - eserowskiej gadaniny i rozeszli się. Rozpoczął się hałas, ruch w kierunku wyjścia. Podenerwowani wodzowie posiedzenia ujrzeli ku swej rozpaczy, że sala szybko pustoszeje.

Było już daleko po północy. Lecz wszyscy znajdowaliśmy się w takim wzbrzurzonym stanie, że nawet nie wspominaliśmy o śnie. Wyszedłem na korytarz, gdzie znajdowali się żołnierze. Tu kompletowało się z nich pierwsze patrole. Jakiś roztropniejszy czerwonogwardzista głośno odliczał wpadających mu pod rękę ludzi i co chwila krzyczał:

— Raz, dwa, trzy, ty starszy. Na Litejny marsz! Raz dwa, trzy, ty starszy. Na Pięć Kątów marsz!

Ludzie nie zdążyli opamiętać się, jak wylatywali na ulicę. Poczułem, jak on pociągnął mnie za rękaw i popchnąwszy w kierunku dwóch czerwonogwardzistów, krzyknął:

— Raz, dwa, trzy, ty starszy. Na Newski_marsz!

Momentalnie znaleźliśmy się na trotuarze i popatrzywszy jeden na drugiego roześmieliśmy się. Jeden z naszej trójki przemówił wesoło:

— Ten czesze, nawet i przespać się nie da. No cóż, chodźmy patrolować.

Wyszliśmy na Newski i skierowaliśmy się do Admiralicji. Lampy się nie paliły, ciemno nieprzeniknione. Wiał zimny wiatr, padał suchy śnieg. Na skrzyżowaniach ulic paliły się ogniska, wokół których grzali się i rozmawiali czerwonogwardziści żołnierze, marynarze. Na ścianach domów, zalanych światłem ognisk, pląsały ogromne cienie. Z ciemności pojawiały się coraz to nowe patrole, ludzie grzali się u ognia i znów odchodzili, znikając w ciemnościach.

Prawie do samego świtu patrolowaliśmy po mieście, sprawdzając warty na moście. Przy Litejnym przeszły koło nas samochody pancerne, a za nimi kilka oddziałów czerwonogwardzistów z karabinami na plecach. Dowiedzieliśmy się, że idą do Smolnego, udaliśmy się za nimi.

Po drodze zajrzałem do domu — mieszkałem niedaleko od Smolnego— zmieniłem opatrunek na rannej nodze i przespałem się z godzinkę. O świcie 25 października byłem znów w Smolnym.

Tu już wszyscy mówili, że czerwonogwardziści zajęli nie tylko mosty i dworce, lecz i stację telefoniczną, bank państwowych. pałac Mariński i wszystkie główne ulice stolicy. W rękach Rządu Tymczasowego znajdował się Zimowy pałac i Sztab Główny. Pod wieczór powstanie rozwinęło się w pełni i władza przeszła faktycznie w ręce Rady Piotrogradzkiej.

Przechodząc obok pokoju numer 18 — znajdował się on na pierwszym piętrze — ujrzałem, że odbywa się tam jak[illegible]anie.

— Co tu takiego? — spytałem sto-j[illegible]ch.

— Posiedzenie frakcji bolszewickiej II zjazdu, — odpowiedziano mi.

Razem z innymi wcisnąłem się do pokoju: wszystkie miejsca były już zajęte. Przy stole stał Swierdłow. Jego zmęczona twarz obrosła czarną brodą, głos nie dźwięczał jak zawsze silnie i gorąco. Mówił on o projekcie znakomitej deklaracji „Do robotników, żołnierzy i chłopów", którą powinien przyjąć II Ogólnorosyjski zjazd Rad. Proponowany projekt deklaracji został jednogłośnie przyjęty. W tym czasie jakiś żołnierz wsunąwszy głowę przez drzwi krzyknął:

— Lenin w Smolnym! Zaraz będzie na posiedzeniu Rad!...

Delegaci pozeskakiwali z miejsc i rzucili się na drugie piętro do sali Aktowej, gdzie miała w tym czasie swe posiedzenie Rada Piotrogradzka.

Słyszeliśmy, że w ostatnim czasie Lenin znajdował się gdzieś w Leśnym. Lecz nikt z nas nie wiedział, że Włodzimierz Iljicz powrócił już do Smolnego.

Kiedy przybiegliśmy, sala Aktowa była wypełniona po brzegi. Lenin jeszcze nie przyszedł, lecz oczekiwano go z minuty na minutę. Zdaje się, że nikt nie zauważył, kiedy Włodzimierz Iljicz wszedł. Wszyscy ucichli, kiedy szedł swym pewnym, trochę przyśpieszonym krokiem do stołu przewodniczącego. W tej momentalnej ciszy wszystkim rzuciła się w oczy jego niezwykła powierzchowność. W ciągu sekundy ludzie poznali Iljicza i salą wstrząsnęła niesłychana owacja. Lenin spokojnie podszedł do stołu prezydium i zajął za nim swe miejsce. Następnie otrzymawszy głos, wstał z trybuny i głośnym, pewnym głosem rozpoczął historyczne, znane całemu światu przemówienie:

— Towarzysze! Robotnicza i chłopska rewolucja, o której potrzebie przez cały czas mówili bolszewicy, nastąpiła... Odtąd następuje nowa era w historii Rosji i obecna trzecia rewolucja powinna w swym stadium końcowym doprowadzić do zwycięstwa socjalizmu...

Ukończywszy przemówienie Lenin usiadł za stołem i patrzał spod przymrużonych powiek na oklaskujących go delegatów, jakby te objawy nie od nosiły się do niego. Posiedzenie zakończyło się, a uradowani ludzie wciąż jeszcze w zachwycie mówili o Leninie...

A. G. SOŁOWIEW

Przekład z rosyjskiego **Z. Ch.**



Dyskusja

O DUSZY GEFANGENA TRWA

O gefangenach, powstańcach i tych trzecich

Problem poruszony przez p. T. Domaniewskiego w artykule „O duszy gefangena" znalazł szeroki oddźwięk. Na ten temat wywiązała się żywa polemika pomiędzy p. Domaniewskim i p. Sadzewiczem, jako przedstawicie lami stron zainteresowanych.

Powstaje pytanie, jakie wrażenie wywołały te wypowiedzi u ludzi, którzy nie byli ani gefangenami, ani powstańcami.

P. Domaniewski uważa gefangenów za ludzi „nienormalnych" z powodu odcięcia ich od świata przez 6 lat. Wydaje się, że za takich gefangeni mogli również uważać ludzi, z którymi zetknęli się w r. 1944. Niemcy stworzyli nienormalne warunki życia nie tylko dla gefangenów. Czy wszyscy inni, żyjący w tym okresie w kraju, bytowali wśród normalnych warunków życia? Czy noc była wtedy czasem spoczynku, dom miejscem wytchnienia i spokoju, ulice szlakiem ruchu miejskiego, praca źródłem egzystencji, własne życie naszą własnością?

Gefangeni pozostali przy swych pojęciach z chwilą izolacji od biegu życia. Ich zamiłowanie do porządku i skrupulatność — to pozostałość normalnego życia, a codzien na systematyczność w sprawach gospodarczych i intelektualnych — to samoobrona przed zwyrodnieniem z powodu odcięcia od świata, podczas gdy z drugiej strony drutów życie rzeczy te dawno wyrzuciło z obiegu. P. Domaniewski nie mówił o pewnej grupie gefangenów, lecz sprawę psychiki gefangenów potraktował jako problem społeczny, rozciągając go na olbrzymią większość ludzi, skazanych na 6-letni pobyt w obozach jenieckich. Potrącił przy tym w najbardziej bolesny punkt „duszy gefangena", zarzucając gefangenom małość codziennych zabiegów wobec wielkich rzeczy, dokonujących się za drutami.

I p. Sadzewicz odpowiedział z pewną cechą Polaków, nadmierną impulsywnością, która wystąpiła jako reakcja na takie ujęcie subtelnej sprawy „duszy gefangena". Nie chcę poruszać tutaj drugiego artykułu p. Domaniewskiego pt. „O pewnym maciborku, który się potknął o własny owijacz", gdyż rozdrażniony ton artykułu sprowadziłby dyskusję do poziomu kłótni. Wydobycie tej kwestii przed oczy tysięcy czytelników w innej formie np. jako wycinek z życia gefangenów z uwypukleniem najbardziej nawet ujemnych cech i śmiesznostek zostałoby przyjęte przez samych „maciborków" z właściwym poczuciem humoru.

Druga przyczyna konfliktu między gefangenami a powstańcami występuje na tle wojskowym. Trudno sobie wyobrazić, żeby gefangeni wykazywali obojętność wobec losu Warszawy, kraju i swych najbliższych. Chodziło tutaj o kwestię organizacji i technikę samego powstania, na co nie znaleźli u przybyłych dostatecznych wyjaśnień. Dawni oficerowie odnieśli się z nieufnością do kwalifikacji wojskowych powstańców, a ci znowu uważali ich pojęcia strategiczne za przestarzałe.

Tak więc oba te środowiska, różniące się między sobą poglądami i usposobieniem, stały się takimi z powodu krańcowo odmiennych warunków życia. Zdawałoby się, na podstawie dyskusji prowadzonej między p. Domaniewskim i p. Sadzewiczem, że oba te środowiska w okresie powojennym nie usiłowały nawet wykazać odrobiny dobrej woli w kierunku wzajemnego zrozumienia się, tymczasem jest oczywiste, że zrozumienie takie istnieje, gdyż w przeciwnym razie konflikt ten znalazłby wyraz w życiu codziennym, a nie tylko w dyskusji między p. Domaniewskim i p. Sadzewiczem.

W rzeczywistości, gdy jedna grupa, przebywając w zupełnej izolacji, starała się zachować równowagę psychiczną i stworzyć sobie rąbek normalnego, wolnego życia w nadziei przetrwania, druga grupa, miotana burzliwą falą wojny, wśród okoliczności zawodzących rozsądek i wszelkie wyliczenia czyniła rozpaczliwe wysiłki dla osiągnięcia wszystkim wspólnego celu wolności.

W. Daniszewska

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa „Samopomoc Chłopska" we Włocławku

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo - Handlowa „Samopomoc Chłopska" we Włocławku (ul. Rolnicza 10) powstała w 1936 r. W okresie okupacji przejęta została przez władze niemieckie. Reaktywowana w marcu 1945 r. ponownie rozwinęła swoją działalność. Obecnie zrzesza 750 członków i zatrudnia 55 pracowników. Prowadzi działy: zbożowy, nasienny, warzywny, zielarski, tekstylny, artykułów budowlanych, materiałów opałowych, materiałów pędnych, maszyn rolniczych oraz nawozów sztucznych. Współpracuje z Gminnymi Spółdzielniami „Samopomocy Chłopskiej" na terenie pow. włocławskiego, dla których stanowi hurtownię towarową. Współpraca ta układa się dla obu stron pomyślnie. Prowadzi we Włocławku 3 sklepy o charakterze mieszanym (galanteria żelazna, nasiona, tekstylne) oraz 2 magazyny: towarowo - zbożowy o pojemności 1.000 ton i zbożowy z elewatorem i czyszczalnią o pojemności 2.500 ton. Obroty Spółdzielni w 1946 r. dały 56 milionów zł. W roku bieżącym osiągnąć mają kwotę 450 milionów zł. Kierownikiem Spółdzielni jest ob. dyr. Izydor Leszczyński, a zastępcą — ob. Czesław Kujat.

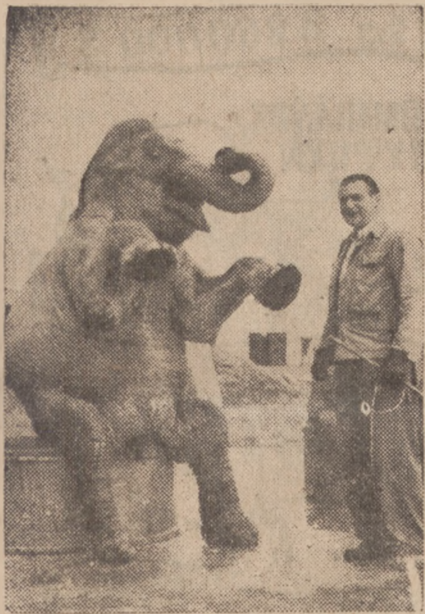
Nr 201 (a)

Spółdzielnia Spożywców Kolejarzy w Bydgoszczy

Spółdzielnia Spożywców Kolejarzy w Bydgoszczy, ul. Dworcowa 76, powstała w marcu 1945 r. Zrzesza 1.300 członków i zatrudnia 58 pracowników. Posiada na terenie miasta 9 sklepów kolonialno - spożywczych. W październiku br. uruchomiła sklep 10-ty wyłącznie rzeźnicki. Prowadzi własne placówki wytwórcze: olejarnię i w sezonie letnim wytwórnię wód gazowych. Obroty Spółdzielni w 1946 r. przyniosły kwotę 73.509.989 zł. Na rok bieżący preliminowano je w wysokości 86 milionów złotych. Zarząd Spółdzielni stanowią: Tadeusz Wójcik — prezes, Wawrzyniec Gonera— zastępca prezesa i Ignacy Filipowicz — skarbnik. (a)

Nr 202

„Róża odpoczywa" podczas tresury przed sezonem zimowym



Lotnisko Weathersfield, koło Braintree, Essex, nie przedstawia wielkiej wartości dla RAF'u, natomiast pan Wenzel Kessmeyer, treser zwierząt, uważa je za doskonałe miejsce do tresowania swego szwadronu „ciężkiej artylerii" — 20 młodych słoni z Cejlonu, z którymi ma zamiar występować w czasie zimowego sezonu na Harrigay Arena w Londynie.

Na zdjęciu: „Róża" odpoczywa pod okiem tresera po ćwiczeniach w Weathersfield.

ANEGDOTY HISTORYCZNE



O jednego luidora

Hrabia de Graumont, jeden z ulubieńców króla Ludwika XVI zastał swoich dwóch służących pojedynkujących się. Kazał więc im natychmiast przerwać walkę, a gdy usłuchali zapytał, co było przyczyną pojedynku. Z początku nie chcieli wyjawić powodu. Wreszcie przyznali się, że ukradli hrabiemu 5 luidorów, a ponieważ jeden zatrzymał dla siebie trzy, a drugiemu dał tylko dwa, więc nie mogąc pogodzić się, wyzwali się na pojedynek.

Hrabia wyjął wówczas jeszcze jednego luidora i dał temu, który uważał się za pokrzywdzonego, mówiąc doń:

— Co za szaleństwo zabijać się o jednego luidora.

OBIAD Z WARIATEM

Podczas jednego ze swych pobytów w Paryżu, Aleksander Humboldt (1769 — 1859), sławny przyrodnik i podróżnik prosił dyrektora szpitala dla umysłowo chorych dra Blanche'a, ażeby mu umożliwił zjedzenie obiadu z wariatem.

— Nic łatwiejszego — rzekł lekarz — może pan raczy zjeść obiad u mnie jutro

— Bardzo chętnie.

Nazajutrz o godzinie 6-ej po południu, prof. Humboldt zasiadł do stołu znakomitego lekarza w towarzystwie dwóch nieznajomych gości. Jeden z nich ubrany na czarno, w białym krawacie, łysy, patrzył wzrokiem stalowym, kłaniał się, jadł, pił i nie odezwał się ani słowa. Drugi przeciwnie: ubrany był w niebieski frak, zapięty niedbale, miał rozczochraną czuprynę, opierał łokcie na stole, dobierał wciąż z półmisków, jadł dużo i gwałtownie, opowiadając jednocześnie wiele historyjek z czasów dawnych i współczesnych.

Podczas deseru Humboldt pochylił się w stronę doktora Blanche'a i pokazując mu wzrokiem osobę ubraną w niebieski frak, szepnął:

— Dziękuję panu. Pański wariat jest bardzo zabawny.

— Jakto? powiedział doktór. — To nie on jest wariatem, to ten drugi.

— Ten, co nic nie mówi?

— Oczywiście.

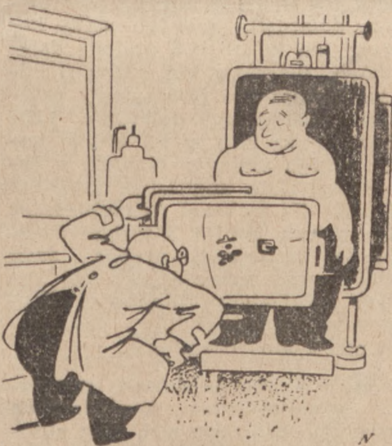
— A któż jest ten, co tak dużo opowiadał.

— Tamten? To Balzak!

FRASZKA NA FRASZKI

Niegdyś, kiedy nazbyt troski
Nie brały za bary,
Pisał fraszki Kochanowski
I pisał Rey stary.
A że myśli mieli siła,
Duch był jak opoka,
Pod tytułem skromnym była
Nie raz myśl głęboka.
Dziś poetów inne kroki:
Jakby dla igraszki,
Nieraz myśl głęboka.
A treść często... fraszki.

HUMOR AMERYKAŃSKI



— Co mi brakuje, panie doktorze?
— Jeszcze 2 dolary i 15 centów za prześwietlenie rentgenologiczne.

Aforyzmy o kobiecie

Kobieta jest arcydziełem stworzenia.

Lessing.

Ubogi, który się żeni z bogatą, kładzie sobie stryczek na szyję i oddaje go w ręce żony.

J. I. Kraszewski

„Kobiety nami rządzą" starajmy się uczynić je doskonałymi, im więcej światła będzie im dane, tym więcej my sami oświeconymi będziemy.

Sheridon

Nie są lękliwsze niewiasty od mężczyn i kto wie, czy równej odwagi nie mają, ale płeć męska lepiej niż one umie ukryć bojaźń.

Ig. Krasicki

Kiedy nieszczęście uderzy w kobietę,
Cicha tam skarga i łzy płyną skryte,
I choćby skonać, wszystko w sobie stłumi,
Bo też kobieta tylko cierpieć umie.

L. Siemieński

Przyjaciel dzieli się wówczas, gdy posiada czego za wiele; kobieta oddaje wtedy, gdy ma sama dla siebie za mało.

A. Bougeart

Miłość bez wzajemności hańbą dla kobiety.

Kl. Hoffmanowa

SPROSTOWANIE

W nr 44 (68) „Tygodnia" na stronie 6-tej błędnie podano objaśnienie pod rysunkiem E. Bartłomiejczyka: „Łazienki", winno być: „Wilanów".

O Polaku, co od grochu ozdrowiał

FACECJA POLSKA Z 1624 R.

Razu pewnego w Rzymie rozstękał się jeden Polak i posłał sobie po doktora; potem w onym lekarstwie w taką chorobę wpadł, że go medyk odstąpił, powiadając mu, „że żadnym sposobem żyw być nie możesz; trzeci dzień nie wynidzie, gdy się pożegnasz ze światem".

On Polak, tak opuszczony, już też nad sobą desperował. Wszakże grochu, co go medyk jadać zakazował, zachciało mu się i kazał go sobie garnek nie mały uwarzyć, który ochotnie zjadł. Od tego czasu jęło mu się poprawiać na zdrowiu.

Trzeciego dnia doktór Włoch, mimo one kamienicę idąc, gdzie Polak leżał, pyta:

— Kiedy onego Palaka pochowano?

Powiedzą mu, że lepiej się ma i ku zdrowiu przychodzi.

— „Santa Maria de Loreto! — Włoch mówi — dziwuję się bardzo temu".

I wstąpił tak i coby za lekarstwo używał, pyta.

Polak rzecze:

— „Grochu mi się zachciało, zjadłem go garniec i zarazem mi się na zdrowiu jęło polepszać".

Szedł Włoch do domu, rozmyślając z sobą, że sławny Dioscorydes tej mocy o grochu nie wiedział, co Polacy umieją. Przeto w Księgi, gdzie lekarstwa doświadczone sobie wpisywał, napisał też to, tak tytuł dawszy:

„ Recepta contra mortem R. Olla pisi bene cocti comedatur tota, non morietur".

To po polsku się rozumie: „Lekarstwo doświadczone przeciw śmierci: Weźmij garniec grochu, a dobrze go uwarzywszy, niechaj chory wszystek zje, tedy nie umrze".

Niedługo potem trafiło się, że leczył on medyk Włocha, in desperatis casibus już go widząc, że mu żadne lekarstwa nie pomagały — uciekł się do swej recepty, jako do pewnej, że go miał od śmierci zachować. Kazał mu uwarzyć garniec grochu i zarazem kazał mu go wszystek zjeść. Włoch zjadłszy groch, tego wieczora umarł.

Widząc to medyk, przyszedłszy do domu wziął one księgi swe i poprawił sobie oną receptę tak:

„Recepta contra moritem, sed pro Polonis tantum".

Jakoby rzekł: „Lekarstwo dobre przeciw śmierci, ale tylko dla Polaków".

Nie wszyscy Włosi mądrzy, choć tam po rozum jeżdżą. Naucz się tego z tej przypowieści: „kto rozumu mieć nie będzie, we Włoszech go nie nabędzie".

W KAWIARNI



— Czy to Beethoven?
— Nie proszę pana, to Rzempoliński, on już u nas gra od trzech lat.

Co wywieziemy... a co przywieziemy...

11 300 000 $

EKSPORT

















PLAN IMPORTOWO-EKSPORTOWY SEKTORA SPÓŁDZIELCZEGO

Sektor spółdzielczy przygotowuje się do przeprowadzenia zagranicznej kampanii handlowej w roku 1948.

Handel zagraniczny w okresie powojennej odbudowy posiada wyjątkowe, niespotykane w warunkach normalnych znaczenie. Brak nam wielu podstawowych artykułów niezbędnych do odbudowy, produkcji i normalnego życia. Brak tych artykułów musi przyczyniać się do zahamowania odbudowy i wstrzymania tempa produkcji, co powoduje opóźnienie w doprowadzeniu naszej stopy życiowej do normalnego stanu.

Na to jednak, żeby otrzymać z zagranicy potrzebne produkty musimy wzamian eksportować. Przeciętny obywatel nie zawsze zdaje sobie sprawę z tej konieczności. Zadaje sobie pytanie: dlaczego wywozimy np. jaja, kiedy i dla siebie nie mamy ich zbyt wiele. Trzeba zrozumieć, że gdyby nie eksport nie moglibyśmy nic importować. Przy odpowiednim wzmożeniu naszej produkcji, przy celowej i oszczędnej gospodarce znajdziemy zawsze pewną ilość produktów krajowych, które będziemy mogli wywieźć za granicę, sprowadzając w zamian niezbędne artykuły z zagranicy.

Jednym z głównych agend naszego handlu zagranicznego jest sektor spółdzielczy, który posiada szczególną rolę zwłaszcza w dziedzinie racjonalnej organizacji eksportu oraz rozdziału towarów importowanych, dysponując gęstą i szeroką siecią własnych placówek, przy których pomocy potrafi dotrzeć do każdego zakątka kraju jako sprzedawca i jako kupujący.

Według planu złożonego przez sektor spółdzielczy na rok 1948 jego import i eksport przedstawia się jak następuje:

Plan dzieli się na trzy części: eksport, import inwestycyjny oraz import towarowy.

Ogółem przewidziany jest eksport na sumę 16.5 miliona dolarów, w tym „Społem" partycypuje sumą 11 milionów 300 tysięcy dolarów (68,2 proc.). Import inwestycyjny zamknie się sumą: 1 milion 600 tysięcy dolarów z czego na „Społem" przypada 98,8 proc. Import towarowy — 77,5 miliona dolarów, z tego „Społem" 98,4 proc. Poza tym spółdzielnie wydawnicze złożyły zapotrzebowanie na import maszyn drukarskich na sumę ok. 100 milionów dolarów.

W dziedzinie eksportu w r. 1948 przewidziany jest wywóz za pośrednictwem sektora spółdzielczego 15 tysięcy ton cebuli wartości 1 miliona dolarów (w tym „Społem" 700 tysięcy) do Anglii, Szwajcarii i anglo - amerykańskiej strefy okupacyjnej; 1500 ton świeżych jagód do Szkocji (510 tysięcy dolarów; z tego „Społem" za 60 tysięcy dolarów, pozostałą ilość spółdzielnia „Las". Spółdzielcza Centrala Ogrodnicza i inne). Przewidziany jest również wywóz co najmniej 10.000 sztuk żywych tuczników do Czechosłowacji, Szwecji i Anglii. Wartość tuczników wyniesie 800 tysięcy dolarów. Cała ilość eksportowana będzie przez „Społem". Przewidziany jest dalej eksport 310 ton łososia mrożonego wartości pół miliona dolarów do Czechosłowacji i Anglii („Społem" za 490 tysięcy dlarów, spółdzielnia „Łosoś" za 10.000 dolarów), 80 milionów jaj i 200 tysięcy sztuk gęsi mrożonych do Anglii, Czechosłowacji, Szwecji i Szwajcarii przez Wydział Mleczarsko - Jajczarski „Społem", łącznej wartości 4 miliony dolarów.

Inne artykuły eksportowe to: 1.000 ton powideł (pół miliona dolarów) do krajów europejskich i bliskiego wschodu, 5 tysięcy ton kapusty kwaszonej (550 tysięcy dolarów) do Czechosłowacji i Austrii, narzędzia rolnicze (np. lemiesze) wartości pół miliona dolarów do krajów bałkańskich, 100 ton fasoli, 50 ton bobu, 30 ton nasion koniczyny, 500 ton saradeli, 100 ton maku, 6.000 ton ziemniaków, 225 ton grzybów suszonych i solonych, 120 ton ziół leczniczych, 250 ton wikliny, 180 ton konserw rybnych, 4.000 zajęcy (do Francji), 680 ton cukierków, 200 ton miodu sztucznego. Cała ta grupa eksportowa pokryta będzie przez „Społem". Centrale spółdzielni pracy przygotowują na eksport meble, galanterię drzewną, tkaniny ludowe itp.

W dziedzinie importu towarowego najpoważniejszą grupę stanowią nawozy sztuczne — 80 tysięcy ton azotowych, 100 tysięcy ton fosforowych i 180 tysięcy ton potasowych z Norwegii, Francji i Belgii łącznej wartości 14 milionów dolarów. Dalej 25 tysięcy ton margaryny (za 26 milionów dolarów) z Danii 20 tysięcy ton śledzi (3 miliony dolarów), 15 tysięcy ton ryżu (3 miliony 300 tysięcy dolarów), 1080 ton ziarna kakaowego (760 tysięcy dolarów), 2 tysiące ton kakao (1,5 miliona dolarów), 500 ton herbaty (900 tysięcy dolarów), 8 tysięcy ton cytryn (1 milion 600 tysięcy dolarów), 2 tysiące ton pomarańcz (800 tysięcy dolarów), 6 tysięcy ton nasion lnu (2 miliony 400 tysięcy dolarów). 1.500 ton nasion konopi (800 tysięcy dolarów). Poza tym w tej grupie importowej przewidziany jest przywóz nasion warzyw, chmielu z Jugosławii, różnych kolonialnych jak: pieprz, ziele angielskie, goździki, orzechy, rodzynki, figi winogronowe i inn. Ze zwierząt żywych sektor spółdzielczy zamierza importować 13.5 tysiąca koni i 3 tysiące krów z Czechosłowacji oraz drobniejsze ilości zarodowego drobiu, świń i owiec z ZSRR. Dla central spółdzielni pracy przewidziany jest import skór twardych, miekkich i surowych z Palestyny, Stanów Zjednoczonych, Francji i Belgii. Wreszcie pewna ilość artykułów pomocniczych dla produkcji jak gliceryna, barwniki i inne chemiczne.

Na odcinku importu inwestycyjnego sektor spółdzielczy przewiduje przywóz maszyn dla zakładów przetwórczych gospodarstwa spożywczego, maszyn torfiarskich, maszyn do przerobu ziół, wag automatycznych do zboża, trierów, kotłów chromowanych, maszyn szczotkarskich, tłuszczomierzy, wirówek, maszyn i narzędzi rolniczych (kosiarki, żniwiarki, wiązałki, noże do sieczkarń, kosy), gazy młyńskiej, inkubatorów i części samochodowych.

76 260 000 $

IMPORT

















MOŻLIWOŚCI i ZADANIA RUCHU SPÓŁDZIELCZEGO

W WIELKOPOLSCE

Jednym z największych pod względem ilości placówek handlowych Związku „Społem“, a tak samo — pod względem powierzchni jest Okręg Poznański, pokrywający się z obszarem województwa poznańskiego łącznie z Ziemią Lubuską.

Na tym terenie dominującą rolę hurtowni artykułów spożywczo-kolonialnych i gospodarstwa domowego odgrywa Okręgowy Oddział Spożywczy „Społem“ w Poznaniu.

Jego zadaniem jest zaopatrzenie 42 oddziałów i składnic powiatowych Związku „Społem“ oraz 40 spółdzielni spożywców z terenu m. Poznania i powiatu poznańskiego.

Wojna i likwidacja spółdzielczości na terenie województwa poznańskiego — zniszczyła również dorobek Związku „Społem“ w Poznaniu. Oddział został ponownie powołany do życia w kwietniu 1945 roku i od pierwszego dnia swojej działalności rozpoczął dystrybucję artykułów przydziałowych na zlecenie władz państwowych, zaopatrując w żywność nie tylko ludność m. Poznania, lecz również i województwa poznańskiego. Nowe wielkie zadania stanęły przed Oddziałem od września 1945 roku, gdy Państwo powierzyło Związkowi „Społem“ magazynowanie i dystrybucję towarów „UNRRA“.

Rozwijające się życie gospodarcze, wzrastające potrzeby ludzi, rosnące coraz większe zadania — decydujące wpływały na rozwój tej placówki. Zostaje powołany dział tekstylny, dział papierniczy i materiałów piśmiennych, a obroty handlowe wzrastające coraz bardziej, zmieniają swój charakter — z obrotów artykułami przydziałowymi — na obroty artykułami wolnorykowymi. W połowie 1946 roku dzięki zmianom strukturalnym placówek handlowych na szczeblu wojewódzkim, Okręgowy Oddział Spożywczy „Społem“ w Poznaniu staje się tak w artykułach przydziałowych jak i wolnorynkowych jedynym spółdzielczym hurtownikiem wojewódzkim w swoim asortymencie towarowym. Rozprowadza przetwory zbożowe, cukier, węgiel, towary „UNRRA“, tekstylia. Przez magazyny tej placówki w 1946 roku przepłynęło 162.000 ton różnych towarów, co w relacji dziennej daje przepływ ca 500 ton.

Dla tak potężnego ruchu towarowego potrzebne są magazyny, odpowiednie ich wyposażenie, tabor samochodowy i konny, aparat fachowo przygotowanych ludzi i dobra organizacja pracy.

Wzrasta więc liczba magazynów z początkowych 2-ch do 13-tu, polepsza się ich wyposażenie techniczne (windy, telefony, rampy, bocznice), wzrasta tabor samochodowy, liczący dziś 15 dużych wozów ciężarowych, pędzonych ropą, o łącznej nośności 90 ton, dla drobnej pracy transportowej w mieście zakupuje się 3 pary koni, stale dobiera się odpowiedni personel biurowy i magazynowy, której liczba na koniec 1946 roku dosięga 400 osób.

Tworzone w ramach Oddziału branżowe działy: jak włókienniczy, papierniczy i przetworów zbożowych — stale rosną tak w obrotach, jak w personelu — toteż zgodnie z zasadą specjalizacji w handlu — działy te w ciągu 1947 roku uzyskują swą samodzielność handlową i zostają wyodrębnione z Okręgowego Oddziału Spożywczego. I tak z dniem 1 stycznia 1947 roku zostaje powołany do życia Okręgowy Oddział Włókienniczy w Poznaniu z dniem 1 lipca 1947 roku— Oddział Papierniczy i Materiałów Piśmiennych, a od 1 września 1947 r. działy przetworów zbożowych (reglamentowanych i wolnorynkowych) wchodzą w skład powołanego do życia Okręgowego Oddziału Zbożowo-Młynarskiego.

Wydawałoby się, że takie wyodrębnienia spowodują spadek obrotów w Oddziale macierzystym, jakim w stosunku do nowopowstałych jest Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu. Nic podobnego — przeprowadzona reorganizacja Okręgowego Oddziału Spożywczego w Poznaniu, wzmożenie pracy działów handlowych — nie dopuszczają do tego — obroty w dalszym ciągu rosną. Dzisiejsza struktura wewnętrzna Okręgowego Oddziału Spożywczego w Poznaniu w najgrubszych zarysach przedstawia się następująco:

Na czele Oddziału, jako jego kierownik stoi p. Łoś Franciszek. Zastępcą w dziale Zakupu i Sprzedaży Artykułów Wolnorynkowych jest p. mgr. Charłampowicz Zdzisław. Praca Oddziału jest rozłożona na szereg działów, jak: Dział Zakupu i Sprzedaży Artykułów wolnorynkowych i komercyjnych. Dział Artykułów Reglamentowanych, Dział Artykułów Monopolowych, Dział Ogólny, Księgowość i Magazyny. W ramach poszczególnych działów pracują fachowe referaty.

Oddział prowadzi Hurtownię Soli oraz Hurtownię Tytoniową, rozprowadzającą wyroby Polskiego Monopolu Tytoniowego w 4-ch filiach dzielnicowych.

Z DZIAŁALNOŚCI OKRĘGOWEGO ODDZIAŁU SPOŻYWCZEGO W POZNANIU

Aby podołać zasadniczemu zadaniu jakim jest zaopatrzenie w odpowiedni asortyment towarowy wszystkich placówek spółdzielczości spożywców tak hurtowych jak i detalicznych w obrębie województwa poznańskiego Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu musiał na odpowiednim poziomie postawić swój aparat skupu. Referenci handlowi Okręgowego Oddziału skupują i sprowadzają towary z całej Polski do Poznania. Źródłami towarowymi są Wydziały Branżowe Centrali „Społem“, Zjednoczenia Państwowe, Zakłady Wytwórcze Związku „Społem“ oraz zakłady produkcyjne spółdzielcze i sektora prywatnego. Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu — prowadzi towary stałego asortymentu i sezonowe, krajowe i importowane. Asortyment towarów spożywczo - kolonialno - chemicznych obejmuje w swym wachlarzu ponad 1300 pozycyj, w grupie artykułów gospodarstwa domowego — ponad 1200 pozycyj. Produkcja „Społem“ w roku 1945 jeszcze bardzo słaba, mniej więcej od połowy 1946 roku nabiera coraz większego znaczenia w obrotach placówki. Przez dostosowanie swych wyrobów jakością, opakowaniem i ceną do wymagań konsumentów — dziś w obrotach Okręgowego Oddziału Spożywczego w Poznaniu stanowi ona prawie 10 proc.

Wysiłki Działu Zakupu nie zawsze są zadowalające. — Nie zawsze dział ten może dostarczyć towarów tak poszukiwanych, jak np. ocet, proszki do prania, soda krystaliczna itp. Przyczym tego stanu należy szukać poza Związkiem „Społem“ — w mimo wszystko niedostatecznej pod względem ilościowym produkcji.

Dział Sprzedaży — podzielony na referaty branżowe w swej pracy nie ustępuje Działowi Zakupu. Rozprowadzając towary dla Oddziałów powiatowych województwa poznańskiego, szczególną uwagę zwraca na zaopatrzenie spółdzielni m. Poznania i powiatu poznańskiego, które po przez 167 sklepów — zaopatrują swych członków w towary. Jak już wspomniano z roku na rok zmienia się stale charakter obrotów i o ile

w 1945 roku obroty artykułami wolnorynkowymi stanowiły 10 proc. ogólnych obrotów Oddziału:

w 1946 r. — przekroczyły 60 proc., to w pierwszych trzech kwartałach 1947 roku — stanowią one ponad 90 proc.

Również obroty szlachetne (zewnętrzne ze spółdzielniami) stale wzrastają i dochodzą obecnie do 55 proc.

W swej działalności zaopatrywania szerokich rzesz konsumentów poprzez placówki spółdzielcze — Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu promieniuje na województwa sąsiednie. Szereg tych placówek z Dolnego Śląska, z Pomorza Szczecińskiego z Wybrzeża — znalazło w Oddziale w Poznaniu swą bazę zaopatrzeniową.

Przyczyną tego jest wybitnie niska kalkulacja, stosowana przez Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu. W 1946 roku przeciętna marża brutto wyniosła 5,5 proc. przy kosztach handlowych 2,73 proc. Umożliwia te wyniki szybka obracalność remanentem, tani transport samochodowy i zorganizowana praca całego zespołu pracowników placówki.

O wzroście obrotów ogólnych placówki świadczą cyfry procentalne. O ile obrót w 1946 roku uznamy za 100 proc., to w stosunku do tego obrotu — obrót w 1945 roku wynosił zaledwie 4 proc., a za pierwsze 3 kwartały 1947 roku już wykazuje około 115 proc.

Praca Okręgowego Oddziału Spożywczego w Poznaniu na odcinku obrotów szlachetnych była i jest jeszcze trudna. Ruch Spółdzielczości Spożywców na terenie województwa poznańskiego nie ma tak głębokich tradycyj, jak w województwach centralnych. Województwo poznańskie było domeną spółdzielczości rolniczo - handlowej i spółdzielczości kredytowo - oszczędnościowej. Na palcach jednej ręki można policzyć spółdzielnie spożywców, działające w okresie międzywojennym. Natomiast bardzo silnie i dobrze zorganizowane jest kupiectwo prywatne, z głęboką tradycją, przygotowaniem fachowym i specjalizacją branżową.

Odpowiedniego więc „klimatu“ dla spółdzielczości spożywców tu nie było. Toteż wysiłki ludzi związanych z ruchem spółdzielczym nad restytuowaniem w 1945 roku spółdzielni przedwojennych były znaczne. Egzamin jaki spółdzielczość polska zdała wobec społeczeństwa polskiego podczas wojny na terenach, zwanych przez okupanta „Generalną Gubernią“, ogólne zubożenie ludności oraz atrakcyjność ideologii wśród mas pracowniczych — przyczyniły się do powstania kilkudziesięciu nowych spółdzielni.

W początkowej fazie spółdzielnie te oparły się w swej działalności wyłącznie na sklepach spożywczych, lecz kilkumiesięczna praca pozwoliła na powołanie do życia sklepów branżowych: tekstylnych i artykułów gospodarstwa domowego. Spółdzielnie widząc realne korzyści we współpracy handlowej z Okręgowym Oddziałem Spożywczym w Poznaniu w coraz silniejszym stopniu swoje zapotrzebowanie pokrywały w tej placówce. Są wśród nich takie, które niemal w 100 proc. zaopatrują się w Oddziale. Oddział czyni duże wysiłki poprzez swój referat samorządu spółdzielczego, poprzez specjalny „referat sprzedaży dla spółdzielni“, poprzez konferencje gospodarcze z zarządami spółdzielni — aby tę współpracę zacieśnić, aby spółdzielniom służyć radą i pomocą.

Powołana we wrześniu 1946 roku Rada Oddziałowa, reprezentująca wszystkie typy spółdzielni poznańskich — jako naczelną dewizę swej działalności postawiła — zacieśnienie współpracy między spółdzielniami, a Oddziałem. Wyłonione z Rady Oddziałowej sekcje, jak gospodarcza, rewizyjna, społeczno - wychowawcza w ciągu rocznej swej pracy wykazały ogrom jej rezultatów.

Najżywotniejsza z nich Sekcja Gospodarcza co parę tygodni zwołuje swe posiedzenia, gdzie wraz z Kierownictwem Oddziału a nawet referentami fachowymi placówki omawia sprawy bieżące, wydaje zalecenia oraz wytwarza atmosferę harmonijnego spółdzielczego współdziałania.

Poprzez spółdzielnie Oddział w sposób konkretny realizuje propagowanie idei ruchu spółdzielczego. Szereg przydziałów świątecznych w podstawowych artykułach żywnościowych jest prawdziwym magnesem, powodującym dopływ ludzi niezamożnych do ruchu spółdzielczego.

Niezależnie od działalności interwencyjno - pomocowej dla członków spółdzielni — Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu w latach ubiegłych i w roku bieżącym bierze w sposób zdecydowany udział w akcjach interwencyjnych na rynku towarowym i to tak zarządzonych przez władze jak i z własnej inicjatywy.

W okresie zeszłorocznej kampanii cukrowej, nie chcąc dopuścić do wykorzystywania plantatorów buraka cukrowego przez spekulantów, skupił ponad 700 ton cukru po najwyższych cenach, za co uzyskał uznanie tak od swej Centrali, jak i Przemysłu Cukrowniczego.

Poznań i województwo poznańskie nie przeżywało w bieżącym roku tzw. „paniki“ cukrowej, co miało miejsce w innych ośrodkach Polski — dzięki między innymi zdecydowanemu stanowisku Oddziału, który uznał cukier jako jeden z podstawowych środków żywności i stosował wszelkie możliwe obniżenia kalkulacyjne — aby tylko cenę na właściwym poziomie utrzymać.

Okres tegorocznego przednówka narzucił konieczność zastosowania interwencji na odcinku przetworów zbożowych. Dla samego tyko Poznania w okresie ok. 3-ch miesięcy Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu rzucił na rynek ponad 1800 ton mąki różnego rodzaju i przemiału i Poznań miał przez cały ten okres chleb po najniższych cenach w Polsce.

Pierwsze lody nieufności do ruchu spółdzielczego, a w szczególności do Związku „Społem“ w Poznaniu zostały przełamane. Wielkopolanie wychowani w duchu solidarności w pracy, uczciwości w transakcjach handlowych, a przede wszystkim fachowości w każdym działaniu — tego samego żądają od spółdzielczości i od jej pracowników.

Przed ruchem spółdzielczym w Wielkopolsce stoją jeszcze olbrzymie możliwości i zadania, lecz nie można sądzić, aby problemy te zostały rozwiązane w ciągu krótkiego czasu, są one bowiem związane z przebudową psychiki poznańczyka i winny być obliczone na działanie kilkuletnie — na działanie długofalowe.

Toteż tylko dogłębne zanalizowanie i usprawnienie działalności placówek spółdzielczych — może dać pozytywne rezultaty. Sprężystość, dokładność, i oszczędność w pracy, realność korzyści, jakie swym członkom winna nieść spółdzielczość spożywców — przekona najszersze masy społeczeństwa wielkopolskiego do tego typu spółdzielczości tak, jak za czasów Szamarzewskich i Wawrzyniaków przekonała do spółdzielczości rolniczo - handlowej i kredytowo - oszczędnościowej.

Okręgowy Oddział Spożywczy w Poznaniu, zdając sobie sprawę z tych problemów — od szeregu miesięcy bada, analizuje i usprawnia swą pracę, swe koszty handlowe, działalność pracowników i wydajność ich pracy, biorąc udział we wszystkich ważniejszych konferencjach gospodarczych ruchu spółdzielczego, a mając dobre dotychczasowe wyniki pracy oraz dobrą „markę“ wśród swych członków — spółdzielni, zdoła napewno istniejące jeszcze trudności dla ruchu spółdzielczego pokonać — dla dobra tych, którym służy jako instytucja społeczno - gospodarcza, dla dobra — Kraju. (a)

Nr 205.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ BUDUJE SWÓJ SAMORZĄD

SEJMIK SPÓŁDZIELCZY

Spółdzielczość, wierna zasadom demokratycznym wprowadza na wszystkich szczeblach pełny samorząd. Na terenie całego kraju odbyło się 250 zgromadzeń oddziałowych, będących podstawą do zgromadzeń okręgowych. W zgromadzeniach oddziałowych wzięło udział 83,3% spółdzielni należących do „Społem". Pierwsze zgromadzenie okręgowe odbyło się 14 września w Katowicach.

Dla zorientowania Czytelników, w jaki sposób odbywają się takie zgromadzenia, wysłaliśmy sprawozdawców do dwóch ośrodków: Łodzi i Olsztyna. Relacje naszych wysłanników zamieszczamy poniżej.

W ŁODZI

W zebraniu oddziałowym w Łodzi wzięło udział 143 delegatów (na 183 uprawnionych) z głosem decydującym. Delegaci ci zostali wybrani na oddziałowych zgromadzeniach spółdzielni. Przedstawiciele Okręgu Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P., B. G. S. i Związku Pracowników Spółdzielczych posiadali głos doradczy. Na zebranie przybyli także, jako goście, przedstawiciele władz państwowych (prezydent m. Łodzi Stawiński), samorządowych, Związków Zawodowych, Związku Samopomocy Chłopskiej, partii politycznych, organizacji młodzieżowych i wszystkich central spółdzielczych, które znajdują się w Łodzi.

Na marginesie zjazdu okręgowego trzeba podkreślić, że „Społem" jest pierwszą centralą spółdzielczą, która nie zadowala się zarządem tymczasowym a dąży do ukonstytuowania się zarządu stałego. Zjazd Okręgowy jest prawomocny, gdyż wzięło w nim udział ¾ delegatów, uprawnionych do głosowania.

Przewodniczącym zgromadzenia został ob. Zatke, a do prezydium zostali powołani aktywni działacze spółdzielczy jak prezes „Społem" ob. Żerkowski, prezes PSS ob. Jańczyk, oraz ob. Karpiński i Michałkiewicz.

Celem zjazdu okręgowego prócz wyboru delegatów na zjazd główny, który odbędzie się w Warszawie i który z kolei zadecyduje o przyszłym składzie zarządu „Społem", jest także zacieśnienie kontaktu ruchu spółdzielczego ze światem pracy (o czym świadczy choćby fakt licznego udziału przedstawicieli społeczeństwa i partii politycznych w zjeździe). Pierwszy zabrał głos prezes „Społem" Żerkowski. Podkreślił on związek ruchu spółdzielczego z ruchem socjalistycznym. Oba te ruchy, choć innymi metodami, walczyły i walczą o stworzenie warunków pełnego rozwoju dla człowieka pracy. Następnie prezes Żerkowski zilustrował osiągnięcia spółdzielczości w Polsce po wojnie i jej udział w planie trzyletnim. Obecnie spółdzielczość posiada 19 tys. sklepów, w tym wiele domów towarowych, 200 tys. pracowników. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że placówki spółdzielcze na wielu terenach musiały być zakładane od nowa (np. Ziemie Odzyskane, czy ziemie należące podczas okupacji do Reichu, gdzie spółdzielczość została od razu zlikwidowana), widzimy ile spółdzielczość dokonała i jaki ma rozmach w pracy. Rok 1947 dał spółdzielczości milion nowych członków. Dlaczego „Społem" nie przystąpiło od razu do zorganizowania samorządu, skoro w pełni docenia jego rolę?

Dlatego, że w latach 1945 i 1946 były do wykonania zadania jeszcze pilniejsze, organizacja placówek spółdzielczych, często od podstaw, był do wykonania ogrom pracy na Ziemiach Odzyskanych. Ten etap pracy jest już poza nami. Rozszerzamy tylko już osiągnięte zdobycze. Łączy się z tym zagadnienie handlu uspołecznionego. Zarówno handel spółdzielczy jak i państwowy może się rozwijać m. inn. przez przypływ nowych placówek, które są obecnie w rękach prywatnych. Prezes Żerkowski podkreślił, że ciągły rozwój ruchu spółdzielczego wymaga wykwalifikowanego pracownika. O jego szkolenie dbać muszą zarówno Centrale Gospodarcze jak i poszczególne spółdzielnie.

Spółdzielczość pracuje po wojnie za ledwie trzy lata, a jednak potrafiła już zająć trzecie miejsce po Anglii i Związku Radzieckim. Przedstawiciele angielskiego świata pracy, którzy ostatnio odwiedzili nasz kraj, interesowali się specjalnie ruchem spółdzielczym, m. inn. organizowanym przez spółdzielczość eksportem (głównie jaj i mięsa). Spółdzielczość pracuje więc nie tylko wewnątrz kraju, organizując handel, ale nawiązała szereg kontaktów z zagranicą.

Z kolei przemawiali: delegat Zarządu „Społem" na okręg łódzki ob. Rapalski, który złożył sprawozdanie z działalności okręgowych oddziałów, działających na szczeblu wojewódzkim i omówił jednocześnie współpracę placówek spółdzielczych na odcinku pracy społecznej oraz ob. Wyszomirski prezes tymczasowej rady okręgowej dla Związku „Społem" i Związku Rewizyjnego. Ob. Wyszomirski omówił dotychczasową działalność Rady. Nie mogła ona rozwinąć działalności, tak, jakby należało, gdyż przeszkadzała w tym jej tymczasowość.

Ob. Burski, który następnie zabrał głos, stwierdził, że wzrastanie liczby członków spółdzielczości jest w dużej mierze zasługą Związków Zawodowych z których rekrutuje się materiał ludzki. Dlatego spółdzielczość powinna umożliwić światu pracy zaopatrywanie się w artykuły pierwszej potrzeby. Prezydent Stawiński poruszył sprawę przejmowania placówek handlu prywatnego przez spółdzielczość, aby stała się ona czynnikiem wyłącznie obok państwowego, zaopatrującym świat pracy w artykuły spożywcze i włókiennicze.

Zgodnie z przepisami statutu wybrano 15 osób do Rady Okręgu, które stanowić będą wewnętrzny samorząd na szczeblu wojewódzkim. Na zakończenie dokonano wyboru 12 delegatów na Główny Zjazd Związku „Społem", który odbędzie się w końcu listopada br.

W. Nałęcz

W OLSZTYNIE

W Olsztynie odbyła się 18 bm. Konferencja Wojewódzka Rad Oddziałów „Społem" woj. Olsztyńskiego. Duża sala kina „Polonia" udekorowana biało-czerwonymi i tęczowymi sztandarami, oraz emblematami „Społem" wypełniła się członkami Rad, oraz licznie przybyłymi gośćmi. Na konferencję przybyli: przedstawiciele Centrali „Społem" dyr. Marian Niczman, członek Rady Nadzorczej „Społem" ob. Bolesław Sokół, dyr. Oddziału Woj. B.G.S. ob. Pniak i dyr. Okręgu Związku Rewizyjnego ob. Pietrzak - Pawłowski. Licznie reprezentowani byli przedstawiciele miejscowych władz i partii politycznych.

Obrady zagaił dyr. Delegatury „Społem" w Olsztynie ob. Koczoń. Wskazał on na aktualne zagadnienia, które stoją obecnie przed ruchem spółdzielczym w Polsce. Obszerny referat na ten [illegible] wygłosił ob. dyr. M. Niczman. Omówił on sprawy unifikacji spółdzielczości na terenie wiejskim, gdzie za podstawową komórkę uznane zostały gminne spółdzielnie „Samopomoc Chłopska". Połączenie z działającymi obecnie spółdzielniami powszechnymi stworzy silniejsze organizmy gospodarcze.

Dyr. Niczman omówił zainicjowane uchwałą Rady Głównej Związku Rewizyjnego zmiany strukturalne na górnym szczeblu. Istnienie kilku Central spółdzielczych jest na dłuższą metę nie do utrzymania. Istnieje wspólna tendencja doprowadzenia do powstania w Polsce jednego Centralnego Związku Spółdzielczego. Dotychczas brak jest decyzji w sprawach strukturalnych. Najsłuszniejsze byłoby powstanie jednej Centrali z podziałem wewnętrznym na Centrale Branżowe. Zapewniłoby to większą dyspozycyjność w ramach skoordynowanego planowania. Tymczasem również i „Społem" planuje u siebie duże zmiany strukturalne. Fakt, że ruch spółdzielczy tak wielką wagę przykłada do uzgodnienia zmian strukturalnych jest rzeczą dobrą. Trzeba znaleźć błędy, aby swój aparat uczynić jak najwydatniejszym.

Stan spółdzielczości w woj. olsztyńskim omówił wyczerpująco delegat Związku Rewizyjnego dyr. K. Pietrzak. W 1945 r. zastaliśmy tu gruzy i zgliszcza. Żadnych form spółdzielczości polskiej na tym terenie nie było, cztery przedwojenne spółdzielnie stanowiące tu bastiony polskości leżały w gruzach. Ale już dziś śmiało możemy powiedzieć, że 2 i pół roku pracy nie minęło bez echa i wyników. Na dzień 30 września br. ogółem było czynnych 392 spółdzielni (w tym 265 handlowych), sklepów spożywczych było 384, wytwórni i spółdzielczych zakładów usługowych — 120. W ciągu 8 miesięcy br. łączne obroty przekroczyły 1.600 milionów zł. Z rodzimych surowców woj. olsztyńskiego spółdzielczość eksploatuje użytki leśne, ryby i torf. 40 spółdzielni rybackich swym zasięgiem obejmuje 70 proc. wszystkich tutejszych wód, a połowy w ciągu 3 kwartałów br. przyniosły 2.000 ton. Do 1 sierpnia osiem czynnych kopalń torfu wyeksploatowało łącznie 9.150 ton. Poważne cyfry w zakresie eksploatacji użytków leśnych przynoszą zbiory jagód, grzybów, malin, borówek i kwiatu konwalii. Spółdzielczość oszczędnościowo - pożyczkowa rozprowadziła do 30 września prawie 33 miliony zł między prawie 2.000 pożyczkobiorców. Ciekawym typem spółdzielni na tym terenie jest 7 spółdzielni parcelacyjno - osadniczych obejmujących 122 rodziny i 2.521 ha ziemi. Ogółem spółdzielnie zrzeszają tu obecnie 38.000 członków i liczba ta stale powiększa się.

Działalność gospodarczą i interwencyjną placówek „Społem" nakreślił dyr Koczoń.

Na zakończenie ciekawy referat o zadaniach i organizacji pracy Rad Oddziałów wygłosił ref. A. Kaczyński. Pomyślny wynik każdej działalności spółdzielczej zależy od stopnia uspołecznienia jednostki ludzkiej — kończył referent.

Następnego dnia odbyło się w sali Oddziału Mleczarsko - Jajczarskiego „Społem" I-sze Okręgowe Zgromadzenie Delegatów. Na obrady przybył członek Zarządu Głównego Związku Rewizyjnego dyr. Maryszczuk i wicewojewoda Karolewicz - Wilamowski.

„Wybór Rady Okręgu i delegatów na Główny Zjazd — zagaił dyr. Koczoń — nie jest tylko aktem przewidzianym statutowo, ale jest czymś większym — jest głębokim wyrazem dobrze pojętej demokracji gospodarczej". Dyr. M. Niczman omówił następnie szeroko rolę „Społem" na tle trzyletniego Planu Odbudowy Gospodarczej. Zagadnienie pracy planowej nie jest dla spółdzielczości czymś nowym — rozpoczął dyr. Niczman. W okresie gospodarki kapitalistycznej bez planowo zorganizowanej pracy nie moglibyśmy się utrzymać. Zasadnicze tezy gospodarcze przedstawione w 1936 r. przez prezesa M. Rapackiego zostały dziś w pełni zrealizowane.

„Sejmiki Spółdzielcze" kończą swe obrady — przygotowujemy się do „Spółdzielczego Sejmu".

J. Z.

CZOŁOWI SPÓŁDZIELCY CZECHOSŁOWACCY O POLSCE

Rozmowa z przewodniczącym delegacji dyr. Józefem Kufnerem

KATOWICE

Korzystając z pobytu na Śląsku delegacji spółdzielców czechosłowackich, zwróciliśmy się do przewodniczącego delegacji ob. Kufnera, generalnego dyrektora Hurtowni Spółdzielni Spożywców w Czechosłowacji, z prośbą o podzielenie się z naszymi Czytelnikami wrażeniami swoimi z kilkudniowego jego pobytu w Polsce:

— Najbardziej zaimponował nam rozmach spółdzielców w Polsce — odpowiedział dyr. Kufner. — Wasza praca, wasze wysiłki są po prostu oszałamiające. „SPOŁEM" łącznie ze spółdzielczością odgrywa w życiu gospodarczym Polski bardzo ważną rolę i bez porównania większą, aniżeli spółdzielczość w Czechosłowacji. Jesteśmy radzi, że byliśmy w Polsce, przekonaliśmy się bowiem naocznie o wielkim wysiłku narodu polskiego, który z takim poświęceniem odbudowuje swoją ojczyznę tak bardzo zniszczoną przez barbarzyńskich hitlerowców. Wierzymy również, że demokracja ludowa, która kieruje Polską, nie wątpliwie wysiłki wasze popiera i przekonany jestem, że wyniki waszej pracy będą jeszcze większe.

Następnie zadajemy pytanie ob. Kufnerowi, jakie wrażenie zrobiła na nim Warszawa. Nasz miły gość zastanawia się nad tego rodzaju pytaniem i po chwili oświadcza, że każdy, kto nie widział ruin Warszawy, nie potrafi ocenić ogromu barbarzyństwa hitlerowskiego.

— Kiedyś, ktoś z Polaków powiedział nam — mówi p. Kufner — że w Warszawie pracuje się między gruzami. Przyznam się szczerze, że powątpiewaliśmy o tym. Dziś jednak, kiedy wśród tych gruzów i ruin przebywaliśmy, kiedy widzieliśmy to wielkie tętno odbudowy, zdajemy sobie sprawę, że te gruzy były straszne, że praca w tych gruzach była mozolna i ciężka, a tym samym oceniamy wysiłki wasze jeszcze bardziej. — Byliśmy w Gdyni — powiedział dalej przewodniczący delegacji — byliśmy w Łodzi, widzieliśmy spółdzielnie „Samopomocy Chłopskiej", byliśmy w Krakowie i obserwujemy wszędzie wielki wysiłek narodu Polskiego, dźwigającego się z ruin, spowodowanych wojną. W Krakowie najbardziej zaimponowało nam Studium Spółdzielcze przy Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie kształci się na wyższej uczelni 800 nowych spółdzielców.

— A jakie wrażenie zrobił na Was Śląsk?

— Na Śląsku byliśmy bardzo krótko. Widzieliśmy lasy kominów i teren ten podobny jest do naszego kraju ostrawskiego. Rozwój jednak spółdzielczości na Śląsku, ilość sklepów, ilość członków jest imponująca.

Na zakończenie dyr. Kufner stwierdza, że współpraca polsko - czechosłowacka, oparta na wielkiej szczerości i na braterstwie słowiańskim, współpraca na płaszczyźnie gospodarczej, kulturalnej i politycznej, niewątpliwie da obu krajom i obu narodom duże korzyści. — „Gdy opuszczamy Polskę — powiedział — pragnę w imieniu swoim, oraz delegacji, jak najserdeczniej podziękować spółdzielcom polskim za szczere i serdeczne przyjęcie. Jest nam bardzo przyjemnie, że poznaliśmy nasz bratni polski naród w codziennej bezpośredniej pracy, że mieliśmy możność z bliska ocenić jego wysiłki. Życzymy narodowi polskiemu i spółdzielczości dalszego rozwoju, co w ramach Państwa Ludowego na pewno będzie z łatwością realizowane".

Nowy konkurs „Tygodnia"

Zagadka trzynasta, zamieszczona w Nr 43 (67) „Tygodnia" była łatwa, toteż wszystkie nadesłane odpowiedzi w ilości: 417 — były dobre. Rozwiązanie zagadki brzmi:

„Dopóty dzban wodę nosi,
dopóki się ucho nie urwie".

Pewne odchylenia od powyższej odpowiedzi — uznano również za dobre. Zaznaczamy, że nie możemy, wobec braku miejsca, ogłaszać nazwisk tych wszystkich miłych Czytelników, którzy nadsyłają dobre odpowiedzi. Podajemy tylko nazwiska osób, nagrodzonych na podstawie przeprowadzonego losowania. Za miłe listy bardzo dziękujemy i prosimy o dalszą współpracę z nami oraz o nadsyłanie uwag i życzeń pod adresem Redakcji. W miarę możliwości wprowadzimy dział rozmów z czytelnikami i odpowiedzi Redakcji.

W DRODZE LOSOWANIA OTRZYMALI:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Jerzy Pietrzak — Warszawa, ul. Tamka 37 m. 5.
Teresa Skrzypek — Kielce, ul. Pomorska 64.
Sławomir Reinhardt — Radzyń Podlaski, ul. Rzeźnikowska 7.
Krystyna Daniszewska — Koło, ul. Toruńska 76.
Wiktor Bromberek — Wągrowiec, ul. Klasztorna 10.
Wanda Jurkiewiczówna — Olsztyn, ul. Reymonta 30—3.
Jadwiga Wielguszewska — Ostrowiec Świętokrzyski, ul. Górzysta 12.
Jadwiga Gibuła — Lublin, ul. Łęczyńska 107 („Społem").
Bożenna Marcinkowska — Lubicz-Krobia, pow. Lipno.
Józef Wojtusiak—Ładygowice, pow. Żywiec — Słotwina 53.
Józef Kocemba — Andrychów, ul. Beskidzka 622, pow. Wadowice.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Elżbieta Ozimek — Mogielnica k. Grójca.
Wiesław Laszczyk — Olsztyn, Aniel. ska Góra 16.
Janusz Kawecki — Łódź, ul. Piotrkowska 107 m. 7.
H. Łączyński — Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Danusi 2—2.
Jadwiga Janus — Będzin, ul. Modrzejowska 64.
Władysław Sowiński — Gniechowice, pow. Wrocław.
Witold Gruber — Nowy Sącz 2, Stara Kolonia Nr 846—2.
Stefan Jasek — Żywiec, ul. Podwale 46.
Stanisław Sawarzyński — Antoniewo, p. Skoki, pow. Wągrowiec.
Krystyna Jankowska — Opoczno, pl. Kilińskiego 2.
Helena Świstakówna — Szczecin, Al. Piastów 58—23.
Elżbieta Mazanek — Kraków, ul. Morawskiego 12—11.
Bogusław Wysocki — Kościerzyna, ul. Hallera 5—6.
Henryk Kociuk — Biała Podlaska, Warszawska 8.
Piotr Kowalczyk — Zakrzew k. Krasnego Stawu.
Stanisław Dobrosiewicz — Poznań, ul. Zagórze 6—10.
Hipolit Lisowski — Białystok, ul. Mickiewicza 79.
Gabriela Rożanek — Szamotuły — Cukrownia.
Karol Węgierski — Jelenia Góra, ul. Klonowicza 3.
Irena Krawczyk — Warszawa, ul. Ogińskiego 4—1.

Wszystkie nagrody wysłane zostaną pocztą.

Obok podajemy zagadkę Nr 15, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 18 listopada br.



VI KONKURS „TYGODNIA"
na rozrywki umysłowe

W numerze 37 (61) „Tygodnia" rozpoczęliśmy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 23 listopada br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 10 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

BIAŁA KRZYŻÓWKA

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome. Rząd 1: Ozdoba choinkowa; kraj w Azji. Rząd 2: Roślina ozdobna, raz tylko kwitnąca; nuta; barwa błękitna. Rząd 3: miasto biblijne; łuka. Rząd 4: Krasa; litera fonet.; kwiat. Rząd 5: przyimek; tytuł każdego z heliastów; litera fonet. Rząd 6: przywódca kozaków; zakładnik wzięty na pewność dotrzymania umowy. Rząd 7: Pismo codzienne; czcionka drukarska. Rząd 8: Karta; brak ciągłości i gramatycznego związku między częściami okresu; symbol pierwiastka. Rząd 9: Poławiacz ryb; skrót cjanu; nie młodo. Rząd 10: Rzeka w Afryce; roślina trawiasta. Rząd 11: Więzienie londyńskie; litera grecka; stąpnięcia. Rząd 12: Maszyna, maszyneria; bona.

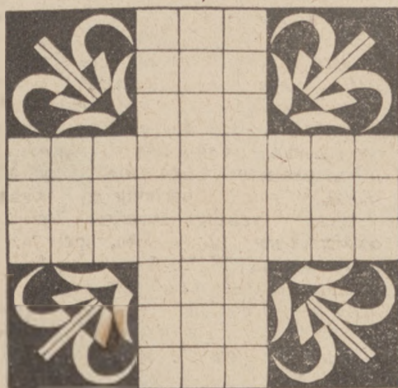
Pionowe. Rząd 1: Jezioro wewnątrz atolu; naszyjnik żelazny do duszenia zbrodniarzy. Rząd 2: plac do zgromadzeń ludowych w staroż. Grecji; zaimek; stężony roztwór cukru. Rząd 3: Bogactwa ziemskie; rozrywka. Rząd 4: Zaimek w spak; dziedzina, gałąź wiedzy; rzeka w Polsce. Rząd 5: Waga opakowania; plecionka ze słomy; zakręt na wzgórzu. Rząd 6: Współcz. poeta francuski; weksel własny. Rząd 7: Pieniądz europejski; imię męskie. Rząd 8: Obręcz żelazna; imię męskie; napój z ryżu. Rząd 9: Ryba karpiowata; regulamin organizacyjny; wiatr na jez. Garda. Rząd 10: Zły duch; wzorzec, prototyp. Rząd 11: Zdrobn. imię męskie; miara powierzchni; napoje wyskokowe. Rząd 12: Miejsce lądowania arki Noego; ostatnie chwile przed śmiercią.

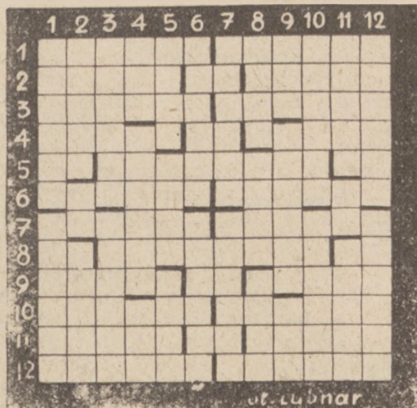
KWADRAT MAGICZNY

Do podanej figury należy wpisać 3 dziewięcioliterowe wyrazy o podanym znaczeniu poziomo i pionowo jednakowo brzmiące.

Znaczenie wyrazów: 1. Ruchomy skorowidz, 2. Pudło powozu lub samochodu, 3. Poplecznik, opiekun.

ul. Tad. Szczudłowski





ELIMINATKA REBUSOWA

Z podanych wyżej rysunków należy odczytać rzędami poziomymi dziesięć wyrazów, wpisując je jednym ciągiem. Z wyrazów tych następnie skreślić litery wchodzące w skład „Klucza", którym jest znaczenie rysunku bocznego — z pozostałych odczytać właściwe rozwiązanie.



ul. Romuald Miałkowski

SKLEROZA

Prosimy naszych czytelników o nadsyłanie wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy", z zaznaczeniem skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności.

Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 300 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł otrzymał p. Józef Zawadzki (Warszawa, ul. Grochowska 331) za nadesłanie wycinka z „Gazety Zachodniej" nr 42 z dnia 19 października br., w którym czytamy:

„Emil Feisal oskarża! Stanowisko USA w sprawie Palestyny sprzeczne jest z Kartą Narodów Zjednoczonych. Debata Palestyńska w Komisji ONZ!...

Dobrze, że „Gazeta Zachodnia" poinformowała nas, jakie imię nosi emir Feisal, bo nam dotąd zdawało się, że ma na imię Pafnucy, a nie Emil.

PO CO BUDOWAĆ?

„Głos Ludu" w nr 273, podając dane o wzroście produkcji brykietów i węgla brunatnego oraz o budowie nowych fabryk brykietów, tak pisze:

„W planie trzyletnim przewidzia na jest również budowa nowych brykietowni. Posiadają one większą od węgla brunatnego wartość opałową i przewóz ich nawet na dalszą odległość jest opłacalny!!!

Bardzo piękne zamierzenie, ale czy warto budować nowe brykietownie po to tylko, aby je rozwozić i palić?

(Nadesłał Jan Dunin Borkowski, Ostrowiec Kielecki, ul. Moniuszki 3).

CUDOWNE ROZMNOŻENIE

„Wieczór" w Nr 283, w artykule pt. „Nie ma ucieczki dla wieloryba, gdy wytropi go samolot", tak pisze:

„...Dziś z jednego wieloryba, wagi ok. 120 ton, otrzymuje się 50 dużych beczek tranu, ponad 7 tysięcy ton konserw mięsnych, pakowanych na miejscu w jednokilogramowe puszki, w kilku gatunkach, jak: szynka, gularz, wędzonka. Jest też kilka ton mączki rybnej, używanej jako nawóz sztuczny, a z wątroby, gruczołów i jelit cenne i poszukiwane surowce do produkcji lekarstw. Najciekawsze jest chyba jednak to, że proces przerobienia jednego wieloryba trwa niespełna 50 minut!...

Cudowne rozmnożenie i świetny interes, skoro z jednego wieloryba wagi 120 ton, otrzymuje się 50 beczek tranu, 7 tysięcy ton mięsa, kilka ton mączki rybnej, surowca do lekarstw itp. I to wszystko w ciągu „niespełna 50 minut".

(Nadesłali: E. Borecki z Zielonki k/Warszawy i Lech Kraszewski z Koła n/Wartą).

GDZIE JEST KRYZYS

„Ziemia Pomorska" w nr 283 z dn. 16 października br. w rubryce „Świat jest okrągły" podaje następującą wiadomość:

„Kraj dobrobytu, jakim jest Szwajcaria, przeżywa w br. poważny kryzys gospodarczy. Zapas złota i walut zmalał tam z 2,7 miliardów koron do 600 milionów koron. W związku z tym zmniejszono prace inwestycyjne i ograniczono zyski przedsiębiorstw oraz zarobki pracowników".

Według jakiego kursu „Ziemia Pomorska" przeliczyła franki szwajcarskie na korony... szwedzkie? Zresztą, kto dziś nie przechodzi kryzysu, nawet i „Ziemia Pomorska" nie uniknie go, jeśli takie wiadomości będzie podawała.

(Nadesłał: Bernard Wojtkiewicz — Piła, ul. Towarowa 5—10).

OFIARY ZŁOŻONE W ADMINISTRACJI TYGODNIA

Prof. M. T. Huber, Gdańsk-Wrzeszcz, Limanowskiego 7
Zł 1.000.—
na odbudowę Warszawy, w celu uczczenia pamięci rodziców spoczywających na cmentarzu Janowskim we Lwowie.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".
Redaguje: Zespół redakcyjny.
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8.
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY: Redakcji 86-164
Administr. 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna—450 zł, roczna 900 zł.
Konto PKO Warszawa Nr I-4766
Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej.
R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa Smolna 12. B-13649

MICKIEWICZ NA KRYMIE



ADAM MICKIEWICZ

na skale Ajudahu, wg portretu W. Wańkowicza.

A J U D A H

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów, zalegają brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie, i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe ręce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody.

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

ADAM MICKIEWICZ

Południowa część półwyspu Krymskiego jest górzysta. Znajdują się tu tzw. góry Krymskie, albo Taurydzkie, składające się w większości ze skał epoki kredowej, które wskutek znacznego zwietrzenia i miękkości warstw w wielu miejscach uległy zupełnemu obnażeniu. Występuje tu więc twardy kamień kredowy, a erozja wód potworzyła tu głębokie wąwozy i liczne, poprzeczne doliny. Właśnie erozji zawdzięczają swe powstanie oddzielne, potężne skały np.: Maugup, Tepe - Kerman i inne. Przedłużeniem tego łańcucha jest drugi wyższy, składający się ze skał jurajskich, a mianowicie łupków gliniastych. W łupkach tych istnieją pokłady lignitu i rudy żelaznej. Poszczególne wzniesienia, jak: Ajudah, Czatyrdah i inne, otoczone są ze wszystkich stron dolinami i wąwozami i tworzą bardzo malowniczy widok. Dopiero na północ od Ałuszty wznosi się łańcuch gór nie posiadający oddzielnych, wyróżniających się wzniesień. Jest to najcieplejsza część Rosji Europejskiej.

W sierpniu 1825 r. przybył tu Adam Mickiewicz, by starać się o posadę nauczyciela w liceum Richelieu'go w Odessie. Starania jego spełzły jednak na niczym, chociaż przyjmowano go bardzo serdecznie, a Karolina Sobańska darzyła go swymi względami, czemu zawdzięczamy szereg doskonałych wierszy miłosnych.

Konna podróż po Krymie i malowniczy krajobraz były pobudką do napisania „Sonetów Krymskich". Powstały więc pod wpływem doznanych wrażeń sonety: „Czatyrdah", odnoszący się do najwyższego wzniesienia w pasmie gór Krymskich, na południowym brzegu półwyspu. Wzniesienie to, według opisu samego Mickiewicza, daje się widzieć z różnych stron prawie na 200 km, w postaci olbrzymiej chmury koloru sinawego, a wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni słonecznych, przez jakiś czas zdają się być w ogniu.

W dolinie zaś, otoczonej ze wszystkich stron górami, leży miasto Bakczysaraj, niegdyś stolica Girajów, chanów krymskich. Miastu temu poświęcił poeta dwa sonety: „Bakczysaraj" i „Bakczysaraj w nocy".

Malowniczy ten teren posłużył również rosyjskiemu poecie Puszkinowi do napisania powieści pt.: „Fontanna Bakczysarajska", osnutej na tle opowieści gminnej o grobowcu bakczysarajskim (znajdującym się niedaleko dawnego pałacu chanów), wystawionym przez Kerim Giraja dla niewolnicy, którą ten nadzwyczajnie kochał. Według jednej wersji niewolnicą tą była Polka — Potocka, według innej jakaś Gruzinka. Grobowcowi temu poświęcił też Mickiewicz sonet pt. „Grób Potockiej". Inne sonety tu powstałe, jak: „Bajdary" (nazwa pięknej doliny przez którą zwykle wjeżdża się na południowy brzeg Krymu), „Ałuszta" (jedno z najpiękniejszych miejsc Krymu, dokąd nie dochodzą już wiatry północne i gdzie podróżny w listopadzie nawet szuka często ochłody pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze w tym czasie zielonych), „Ajudah" i inne.

Na zdjęciu, zamieszczonym poniżej, znajduje się wzniesienie Ajudah (po polsku Góra Niedźwiedzia), liczące 700 m wysokości. Na wierzchołku tej góry widoczne są jeszcze resztki warowni, założonej tu niegdyś przez Genueńczyków.

Pobyt Mickiewicza na Krymie trwał do października 1825 roku i przyniósł mu w dorobku literackim osiemnaście sonetów, które jako zbiór noszą nazwę „Sonetów Krymskich", prócz tego szereg wierszy miłosnych.



Góra Ajudah na Krymie uwieczniona przez Mickiewicza w Sonetach Krymskich.

W najbliższych numerach: Józef Bartosik, Jan Rojewski, Marek Sadzewicz, Jan Wiktor, Jerzy Wyszomirski, Jadwiga Żylińska.